Nr. 17. Warszawa, dnia 13 (25) Kwietnia 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy. kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

POCZĄTEK KOŃCA.

Nareszcie chwila oczekiwana nadeszła: senat francuski zebrał się po świętach d. 21 b. m. Na porządku dziennym stały rozprawy nad kredytem „madagaskarskim.“ Demôle, autor rezolucyi lutowej, wyłuszczającej prawa konstytucyjne senatu, dla nauki p. Bourgeois, wniósł żądanie odroczenia rozpraw do czasu wyjaśnienia się stosunków rządowych. Kredyt uchwaliła była już Izba, a rząd potrzebuje pilnie funduszów i prawa do ich wydatkowania. Odroczenie mogła podyktować tylko zasadnicza niechęć. Tą niechęcią też powodowała się większość senatu, uchwalając odrazu (171 gł. przeciw 90) wniosek Démôle'a. Gabinet otrzymał bez wyraźnego nazwania najdoskonalsze *votum nieufności*.

P. Bourgeois podał się zaraz do dymisyi. P. Faure przyjął podanie się do wiadomości. Nic też innego nie dał mu od siebie i pierwszy minister w swojem własnem i w kolegów swych imieniu — jeno proste zawiadomienie, że sprawy utknęły na tym punkcie, w którym dymisya stać się może nieuchronną koniecznością. Gdyby zasiadała Izba, minister odwołałby się do niej bezzwłocznie i nie potrzebowałby spełniać powyższej formalności: dowiedziałby się odrazu, jak stoi i zażądałby uwolnienia już dla rzeczywistego skutku. Ale Izba d. 21 b. m. używała pierwszego słońca, pierwszej trawy wiosennej: formalność była nieunikniona; ona tylko zażegnać mogła wielki huk w narodzie oportunistów. P. Bourgeois zrobił co musiał; zaraz jednak zwołał Izbę. Trybunowie ludu, wezwani przez p. Brissona, zebrać się już mieli w Palais Bourbon we czwartek.

W Izbie ma gabinet przyjaciół — nie za wiele. Zarobił sobie na to swoimi zamysłami na dalszą przyszłość, swoim radykalizmem dla jednych, dyletantyzmem dla drugich — samemi nawet nazwiskami swych członków. W początku listopada r. z. zjawił się tak niespodziewanie, w tak nieprzyjaznych okolicznościach, że go uważano za chwilową tylko improwizacyę p. Faure'a, byłego robotnika, małego dłubacza w przemyśle, tradycyjnie pochylającego się, bezwiednym nawet instynktem, ku takim ludziom i takim zasadom, jak p. Bourgeois ze swymi kolegami i swymi programami. Nie wróżono rządowi nowemu życia więcej nad miesiąc jeden: on dożywa już szóstego! Do stycznia z przedstawicielami narodu walczyć nie potrzebował. Drobne podjazdy w obu Izbach odpędzał. Dopiero w styczniu usunięcie się Challemel-Lacoura i wejście Loubeta na prezesa senatu — rozpaliło żagiew. Senat jął zabijać muchy centnarowymi młotami. Odmowy, rezolucye, zapytania, nieufności — sypały się, jak iskry, przez luty i marzec.

Izba deputowanych po wszystkich ciosach, zadawanych przez Demôle'ów, Monnisów i innych *ejusdem farinae* — przykładała balsam na rany i odpędzała napastnika. Najpamiętniejszą była taka jej przysługa w d. 20 lutego w wydętej przez optimatów oportunistycznych sprawie, a raczej głupstewku Ramplera. W miesiąc później w głosowaniu drugiem nad projektem podatku od dochodów życie wisiało tylko na włosku; pięć głosów wystarczało do zwalenia gabinetu. Wybuchła Dongola. P. Bourgeois, nie mogąc słowami wypędzić Anglików, przeciwko wyciąganiu się łapy angielskiej zaprotestował; protestując bez skutku, dopuszczał się zbrodni. Charmes już na niego gilotynę ustawił, ale większość, teraz już 309 przeciwko 213 gł., obroniła go od śmierci. Nazajutrz już mógł sobie senat objawiać w tej samej sprawie swój wstręt i gniew i żądzę. P. Bourgeois pozostał, choć go w Luxemburgu 157 gł. przeciwko 87 potępiono.

I tak doczekał się d. 21 b. m. nowej klęski — w senacie. W tym tygodniu stoczy wielką, zdaje się, rozstrzygającą bitwę. Przeciwko sobie mieć będzie oportunistów obu Izb. Liczebność ich bojowa w Izbie deputowanych jest zagadką, a od niej zależy los ministrów. Jeśli raz pięć głosów uratowało, pięć teraz znowu zbawić lub zgubić może. Formy walki nawet określić niepodobna w tej chwili; ale treść będzie, być musi. P. Bourgeois może się jeszcze ocalić: niech tylko przejdzie pod jarzmo oportunistów. Przepędzą go jeno i zostawią. Z Paryża już telegrafują, że p. Faure po p. Bourgeois powoła — p. Bourgeois, ale z oportunistami.

Tydzień polityczny. Ks. Ferdynand d. 14 b. m. wyjechał z Konstantynopola; 16-go był w Odesie, a 18-go w Petersburgu, gdzie jeszcze 22-go bawił.

Wybory w Hiszpanii d. 13 b. m. odbyte dały kongresowi 318 zachowawców, 87 liberalnych, 11 niezależnych, 10 karlistów, 5 zach. dysydentów, 3 republikanów — obliczenie ostateczne.

Rząd hiszpański ulega: półurzędownie zapowiada na jesień autonomię dla Kuby. Sagasta, Silvela w imieniu swych stronnictw, republikanie i radykaliści — wszyscy się jej domagają. Stronnictwa reformy i autonomii na samej Kubie widzą jedyne wyjście w sa-[illegible]

Wyprawa do Dongoli postępuje cichaczem. W Kairze mniejszość komisyi długów zapozwała większość pod trybunał na 27 b. m. Sprawa więc rozżarzona.

Times donosi o zbrojeniu się Boerów i zajęciu już nawet pozycyi w krainie Beczuana. Anglicy pobudzają sami Transwal do przezorności. Stosunki naprężone. Rhôdes chorował, wyleczył się, stoi już przy robocie. Posiłki idą z Przylądka i z Europy. Główne miasto Matebelów Buluwajo osaczone przez powstańców.

We Francyi zaczęło się już przesilenie w rządzie (ob. art. wstępny).

P. Faure d. 15 w nocy wyjechał do Verdun, nazajutrz zwiedził jego warownie; d. 18 b. m. był w tym samym celu w Toul już na pograniczu. Wynagrodziło to patryotów za wstrzymanie się rządu od udzia-

łu w uroczystościach pamiątkowych belforckich — przez wzgląd na Hohenlohego, który wówczas bawił w Paryżu. Fortece wschodnie i wogóle pogranicze otrzyma nowe posiłki. Na to właśnie Cavaignac wytwarza armię kolonialną, aby korpus XIX przerzucić do Francyi Nie polepszy to stosunków z Niemcami.

Układy z Menelikiem stanowczo zerwane. O odsieczy dla Adigratu jest dopiero doniesienie prywatne; o walce jeszcze cicho.

Cesarz Wilhelm z Wiednia nie wrócił do Berlina, lecz pojechał do Karlsruhe, do Koburga, pojedzie dalej.

D. 18 po raz czwarty Lueger burmistrzem nie zatwierdzony. D 20 Izba dep. rady państwa rozpoczęła drugie narady nad reformą wyborczą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

BEZ OPIEKI.

Ludziom wiosna przynosi wielki skarb — tę siłę, która, jak soki w drzewach, zaczyna raźniej krążyć w najbardziej zesztywniałych z głodu i nędzy organizmach, rozdyma płuca zbolałe i skurczone brakiem powietrza w norach piwnicznych, ożywia osowiałe, wybladłe oczy dziatwy, kryjącej się przez zimę po kątach ciemnych, pod stołami i łóżkami. Wysypała się ona na podwórza i chodniki, porusza chwiejnie nóżkami pałąkowatemi, kosztuje wiosny: pożera wzrokiem rąbek nieba nad dachem, otwiera usta szeroko i wchłania kurzawę z pod mioteł stróżów, stóp przechodniów i kopyt końskich. W suterenach i na poddaszach było im i duszno, i niebezpiecznie, bo zamknięte przez cały dzień bez opieki, mogły sobie szkodę wyrządzić jakiem narzędziem ostrem, ogień rozniecić i żywcem się spalić. Tu mają przestrzeni dużo, tu ludzie chodzą, więc nie dopuszczą, ażeby pod koła i kopyta wpadały. Ojcowie i matki, zdawszy tedy swą dziatwę na łaskę podwórza i ulicy, idą na cały dzień do roboty. Lecz często ufność w przechodnia zawodzi srodze. Ileż to razy zdarzyło się, że rodzice po powrocie z warsztatów lub fabryk znaleźli ciało swego dziecka z głową roztrzaskaną lub dowiedzieli się, że z połamanemi żebrami najukochańsze leży w szpitalu. Ileż razy znikały im bez wieści te, które chodzić jako tako umieją, lecz nie mogą wyjaśnić jak się nazywają i gdzie mieszkają.

Czytamy uważnie drobne wiadomości w pismach codziennych, bo tam się mieści smutne świadectwo naszych niedomagań społecznych. Gdybyśmy na mocy tego źródła prowadzili stale statystykę wypadków, przeraziłaby nas w okresie rocznym rubryka zagłady lub kalectwa dziatwy, skutkiem przejechania, poparzenia, wypadania z okien, zjadania różnych odpadków z rynsztoków i śmietników. Głęboka i zjadliwa satyra nietylko istnieje w literaturze, nietylko zawdzięczyć ją trzeba autorom wybitnym, lecz bodaj więcej jej rodzicielom — warunkom i środkom ich zażegnywania. Wczytajmy się tylko w tę bolesną a bezwiednie stworzoną nie przez mistrzów satyrę: odpowiedzialność rodziców za niedozór dzieci. Przyjrzyjmy się matkom, których rozpacz po stracie dziecka lub na widok jego kalectwa graniczy z obłędem, zobaczymy, jak one wyglądają wiedzione pod pręgierz za ów „niedozór..."

Jeszcze w lutym *Kuryer Warszawski* ofiarował 100 rs. na ochronę dla dziatwy, pozostawionej w domu bez opieki przez rodziców, zajętych pracą. Pismo to nawoływało ogół, ażeby zechciał moralnie i materyalnie przyczynić się do założenia w kilku dzielnicach miasta przytułków — nie filantropijnych — do których ubodzy pracownicy mogliby swój drobiazg oddawać z opłatą 5 kop. za dozór i utrzymanie całodzienne. Do tej odozwy p. W. Marrenowa dorzuciła jeszcze słów kilka i swoje honoraryum za artykuł i — nastała cisza znamienna. Ogół, opiekujący się mopsami upasionymi, w kapturkach, życzliwie przyjmujący projekty przytułków dla starych piesków i kotów, pozostał prawie głuchym na wezwanie do zaopiekowania się dolą przyszłego pokolenia, które ma dźwigać na swych barkach rozwój powszechny i dążyć ku szczytom szczęśliwości, podobnym do szczytów gór ośnieżonych i lśniących w słońcu, pozornie przystępnych i nizko wzniesionych nad płaszczyzną. Postanowiono założyć jedno schronienie na Powiślu dla kilkunastu niemowląt. Gdyby to postanowienie przyoblekło się nawet w rzeczywistość, byłoby zaledwie drobiną prawie niedostrzegalną śród setek tysięcy mieszkańców ubogich. Gdyby powstało i więcej tego rodzaju przytułków, nie zaspokoiłyby one jeszcze najpilniejszych potrzeb, nietylko bowiem niemowlęta wymagają opieki, ale wogóle dziatwa przynajmniej do lat dziesięciu. Mamy wprawdzie ochron trzydzieści kilka, ale obok tego, że jest ich za mało, przyjmują one dzieci w wieku od lat 4 do 7 i nadzwyczaj ściśle trzymają się tej normy. Wyrzucone z zakładu w siódmym roku życia, wstępują do innej szkoły—ulicy. To ich wychowawczyni najsilniej oddziaływająca.

Dla dziewcząt istnieją szwalnie — zaledwie siedem na całe miasto. Tam przynajmniej chociaż garstka ma dozór i uczy się rzeczy niezbędnych w życiu codziennem. Chłopcy mogą być oddani do terminu dopiero po skończeniu lat czternastu, a więc przez lat siedem pomiędzy ochronką a rzemiosłem powinni się uczyć. Mają na to bezpłatne szkoły miejskie jedno i dwuklasowe (Warszawa posiada ich dla chłopców 48, dla dziewcząt 23), ale tak zawsze przepełnione, że tylko wyjątkowo szczęśliwi wybrańcy mogą się tam dostać; wobec zaś takiego braku miejsc są i wymagania względnie surowe. Zresztą zakłady te nie mogą całkowicie wypełnić najniebezpieczniejszego dla dziatwy okresu siedmioletniego między ochronką a terminem.

Za granicą, niejednokrotnie, więcej niż u nas, ujawniono w czynie troskliwość o losy przyszłych pokoleń. W Linden pod Hanowerem rozwija się świetnie „Instytucya pielęgnowania dzieci robotnic przędzalni." Zakład ten przyjmuje dzieci od kilku tygodni do czternastu lat wieku, a więc rozciąga opiekę nad płonkami i latoroślami społeczeństwa w chwili, kiedy one wymagają najstaranniejszego pielęgnowania. Jeżeli kiedyś zdobędziemy się na jakiś czyn w tej mierze, to niechże zakłady tego rodzaju będą wzorowane na najlepszych urządzeniach zagranicznych; niech będą własnością ogółu, który na to dzieło złoży swe środki i zabiegi. „Aby wszyscy mieli uprzystępniony udział w tej pracy społecznej — pisze do nas jedna z czytelniczek — niech da każdy co może na budowę schronisk. Więc żelazo, drzewo, cegłę, wapno, cement grunt — obywatele ziemscy, fabrykanci, właściciele cegielni, kopalń, hut itd. Znaleźć się może budowniczy, który plan wykona, i taki, co roboty dojrzy, i inżenier, co skanalizuje, i biuro techniczne, co mu w tem pomoże—jednem słowem, każde usiłowanie, każdy najdrobniejszy datek stanowić może cegiełkę w tej budowli społecznej."

Tak łatwe do wykonania i tak pięknie obmyślane dzieło! Czy my jednak potrafimy zdobyć się na to? Społeczeństwo nasze wogóle nie jest zamożne, ale już niejednokrotnie dowiodło, że jest wrażliwe na niedolę ludzką, gdy ta poruszy serca i mózgi swoją, że tak powiemy, stroną dekoracyjną. Tłumy dotknięte powodzią, pożarem i głodem, znalazły nieraz szczodrą pomoc, udzielaną nawet ze skromnej kalety. Ale te trzy klęski swoją grozą suggestyonują ogół. Niedola szara, codzienna, powszedniością swoją zobojętniła masy, więc tem bardziej rozwinęła się dekoracyjność zarówno w pracy i pomocy zbiorowej, jak i czynach pojedynczych. Jednostki zamożne nie znają życia i jego pilnych potrzeb; wystawiają więc sobie pomniki w tworzeniu lub uposażaniu instytucyj jałowych albo takich, których wzniesienie można byłoby bez szkody publicznej odłożyć na lat kilkadziesiąt. Wreszcie organizacye celowe, które przyniosłyby istotną korzyść społeczną, hojnie szafują swoje środki również na efekty i dekoracye. Ktoś powiada, że „wolno używać własnych pieniędzy, jak kto uważa za właściwe, skoro się to dzieje bez szkody ogółu." Czyż wydanie 4,000 rs. przez Towarzystwo ogrodnicze na oświetlenie Bagateli elektrycznością, nie przynosi szkody społecznej, gdy inne, właściwe zadania tej instytucyi drzemią lub są w zalążku; gdy tutejsze zakłady ogrodnicze sprowadzają drogo płatne bukieciarki z zagranicy? Wszak można byłoby je wykształcić z naszych dziewcząt ubogich, pozostawionych bez nauki i opieki.

Mamy bukieciarki-dzieci, które z fijołkami żebrzą na ulicy; mamy również kilkoletnich chłopców-żebraków. To jest właśnie ta szara nędza moralna i materyalna, ujawniająca się w dziatwie, oddanej ulicy — wielkiej wszechnicy dziecięcej z licznymi wydziałami, kształcącymi różne kategorye tak zwanych „wyrzutków." Tu mamy i wiwisekcye, polegające na wyłupianiu oczu kotom, ogłuszonym uderzeniem o mur. Tu się wyrabia zręczność i siła za pomocą ciskania błotem i kamieniami na przechodniów. Tu istnieje zbiorowa pomoc pedagogiczna — w czynie i słowie, udzielana przez starszych wyrostków młodszym. Tu wreszcie powstają zarodki antisemityzmu w łaźniach dzieci żydowskich i walkach z niemi na pięście, kamienie i błoto.

Jakże my, zamożniejsi lub jako tako dostatni, możemy troszczyć się o ten tłum nieletni i niemowlęcy, jeżeli o własne dzieci niewiele dbamy? Raz tylko nam się zdarzyło widzieć tak zwany salon, słoneczny i przestronny, użyty na sypialnię dziecięcą: powszechnie zaś najlepszy i najzdrowszy pokój jest przeznaczony dla oka ludzkiego. Co najgorszego i najniezdrowszego — oddajemy swej dziatwie, a nawet gdy się nam chce tańczyć, wyrzucamy ją do kuchni. Lecz jeżeli my nie mamy odpowiedniego mieszkania dla swych dzieci, to cóż powiedzieć o ludności ubogiej. Brudne, cuchnące, ciemne nory—to ich schronienie przez większą część roku; podwórza — to ogrody, ulice — to szkoły. Zdobyliśmy się na kolonie letnie, bo to nas jeszcze bawi; nasze panie „z towarzystwa“ mogą sobie zabić część czasu, zbywającego od wizyt, przyjęć i spacerów, filantropijnem „rozdawnictwem“ odzieży i kwestowaniem w sklepach. Żadna z nich jednak przy zmianie stroju w każdym sezonie, których moda stworzyła dwanaście na rok, nie zaoszczędzi na wstążkach i piórach trochę grosza dla stworzenia instytucyj, przyjmujących dziatwę, pozostawioną przez dzień cały bez opieki. Dotąd zdaje się oprócz stu rubli *Kuryera warsz.* i skromnej kwoty Marrenowej, nikt na ten cel nie złożył ofiary. Ale podobno jakaś czuła dama zebrała już sporą sumę na przytułek dla starych piesków. Zdawałoby się jednak, że macierzyństwo i ojcowstwo rodzą najsilniejsze i najpiękniejsze uczucia, że wytwarzają wielką wrażliwość na niedolę nietylko własnych, lecz i obcych dzieci.

Duvancel opowiada o silnem wstrząśnieniu, jakiego doznał, zabiwszy małpę: „Biedna matka, która nosiła swe dziecko, była ugodzona kulą w pobliżu serca. Zebrawszy wszystkie swe siły, wzięła dziecko, zawiesiła je na gałęzi i padła martwa u drzewa.“ Ludzkość pod brzemieniem warunków i przesądów społecznych i obyczajowych chwilami tłumi w sobie te piękne uczucia, takie silne u zwierzęcia, bo coraz więcej mamy matek „wyrodnych,“ uśmiercających swoje dzieci pod ogniem wstydu lub uciskiem nędzy. W kobietach ze sfer ukształconych i dostatnich uczucie macierzyństwa wzbudza nieraz porywy próżności i egoizmu. Tworzą one ze swoich „pociech“ lalki i papugi, stroniące w ogrodach i na ulicy ze wstrętem od dziatwy ubogiej i obdartej. Może być, że ten wstręt, głęboko zasiany w młodych mózgach, wytworzył obojętność u dorosłych. Jeżeli jej nie możemy spalić zarzewiem miłości bliźnich, to starajmy się usunąć chłodnem wyrozumowaniem dobra społecznego. Wspólną pracą i ofiarą stwórzmy jak najliczniejsze w różnych punktach miasta instytucye, opiekujące się tem mrowiem dziatwy, pozostawionej samopas.

———

BRAK WODY.



Wubiegłym tygodniu cała Warszawa wraz z Pragą była pozbawiona wody niemal przez dwie doby, skutkiem pęknięcia głównej rury, łączącej stacyę pomp przy ul. Czerniakowskiej ze stacyą filtrów na Koszykach. Wypadek ten, niezmiernie dotkliwy dla mieszkańców miasta, jest znamiennem świadectwem oszczędności gospodarczej. P. Lindley, kanalizujący całą Europę, nie potrafił, czy nie chciał stanowczo pokierować sprawy tak, ażeby niezwłocznie ułożono rury zapasowe, bez których całe urządzenie nie daje rękojmi stałego, nieprzerwanego zaopatrywania miasta w wodę. Wprawdzie w projektach naczelnego inżeniera były przewidziane trzy rury, łączące pompy ze stacyą filtrów i nawet ułożono je przy przejściu przez staw Łazienkowski, ażeby w przyszłości uniknąć trudnej i kosztownej roboty w tem miejscu. Podobno p. Lindley w ciągu lat dziesięciu nieraz się upominał o zatwierdzenie tego projektu, ale widocznie nie potrafił dać silnie przekonywających dowodów, skoro tak ważne i pilne uzupełnienie dotąd nie przyszło do skutku. Jeżeli zresztą przy tem lekceważeniu rur zapasowych przewidywano możliwość uszkodzenia głównej, to dlaczego zamknięto większość studzien?

Wodociągi dają dziś dochodu *milion* rs. rocznie; ułożenie zaś rury zapasowej kosztowałoby 300,000 rs. Jeżeli ten wydatek, pomimo tak znacznego dochodu, uważano za uciążliwy, to przecież pozostawało inne zabezpieczenie, kosztem tylko 20,000 rs. Mianowicie p. Lindley projektował postawienie motoru gazowego i pompy centryfugowej w celu przepompowywania wody z dolnej części osadników do filtrów, co dałoby zapas wystarczający na czas naprawy uszkodzeń. Komitet uznał ten projekt za konieczny, ale jednocześnie przyszedł do przekonania, że motor elektryczny będzie praktyczniejszym od gazowego ze względów technicznych i ekonomicznych, gdyż stacya filtrów ma być oświetlona elektrycznością. Polecono więc głównemu inżenierowi opracowanie nowego projektu i przedstawienie komitetowi. Ale pomimo że już rok upłynął, główny inżenier nieznalazł jeszcze czasu na to. Pół miliona ludności może również podać rachunek swoich strat i zażądać wyjaśnienia, dlaczego jej nie zawiadomiono o wypadku, ażeby mogła się zaopatrzyć w wodę przynajmniej dla ugotowania strawy i do herbaty. Stała się rzecz niebywała w kronice naszego miasta: za kwartę wody płacono po trzy i cztery grosze; przy studniach, których pozostała niewielka liczba, staczano bójki, rozchwytywano niewylewaną od lat kilku wodę brunatną, przypominającą ścieki kanałowe. Pomijamy już to, że przemysł poniósł znaczne straty, na ogół zapewne większe, niż wynosi kosztorys rur zapasowych. Ucierpiała najbardziej ludność uboga, dla której woda jest najgłówniejszym produktem spożywczym, daje bowiem możność gotowania potraw mącznych i dopełniania tej strawy herbatą. Zamożniejsi mając piwo, wino, wodę sodową i mięso, nie odczuli tej klęski dwudniowej. Zważmy jeszcze, że obecna pora jest najprzyjaźniejszą dla rozwoju wszelkich chorób zakaźnych i epidemicznych; że picie wprost zarażonej wody ze studni nieoczyszczonych może się odbić bardzo dotkliwie na ogólnej zdrowotności. Straty więc pół miliona mieszkańców mogą uczynić sumę większą, niż dają rocznie urządzenia, dostarczające wody filtrowanej.



LIBERUM VETO.

Nowe ofiary honoru. — Co jest zaszczytnem. — Pojedynek amerykański. — Kto najczęściej bywa jego powodem. — Flirtownice. — Rozumne wychowanie kobiety i rady troskliwej matki — Igrzyska olimpijskie. — Pytlasiński i Herkules. — Zebranie wyborcze w Kaliszu. — Projekt p. Lubieńskiego — Można pójść dalej. — Co powinno czynić Towarzystwo kredytowe ziemskie dla uratowania większej własności. — Pytania logiki i piski złych ptaków.

Smok „honoru“ znowu pożarł w ubiegłym tygodniu kilka ofiar śród zadowolonej gawiedzi, która mu życzyła „dobrego apetytu.“ We Włoszech, Francyi, Niemczech i u nas biedni męczennicy barbarzyńskiego przesądu pistoletami, rewolwerami, szpadami walczyli w obronie swej czci nad otwartym grobem, w który jeden z zapaśników wpadał. Wobec tego smutnego widoku jednostki, których umysłu nie przegryzła rdza rozmaitych przeżytków cywilizacyi, które umieją myśleć i czuć niezależnie od głupiego zwyczaju, które mają siłę oprzeć mu się, pytają siebie i swego otoczenia: co znaczą w dzisiejszej kulturze te dzikie rozprawy pojedynkowe? Czegóż jeszcze potrzeba dla rozwoju moralnego ludzkości, ażeby ona wreszcie ze wstrętem i zgrozą zatamowała tę od wieków płynącą strugę krwi? Więc „honorem“ jest ginąć lub zabijać kogoś dla tego, że jeden drugiego nazwał zielonym lub udeptał go w nogę, dla kaprysu, junactwa, zdobycia kilkodniowej sławy pozbawiać społeczeństwo cennej, a często genialnej siły, małe dzieci — ojca, rodziców — syna? To ma być szlachetnem, rozumnem, uczciwem? Albo przenicujmy całą naszą etykę, wyrzeczmy się zasad przewodniczących cywilizacyi, zburzmy całe rusztowanie myśli naszych i zbudujmy nowe, albo zaprzestańmy chwalić i podziwiać dzikie walki, które niczego nie rozstrzygają i nikomu nie przynoszą dobra, a ród człowieczy okrywają hańbą.

Dwudziesto-paroletni młodzieniec, może ukochany przez swą rodzinę, może jedyna jej pociecha i nadzieja, odebrał sobie życie w hotelu, wypełniając warunki pojedynku amerykańskiego. Nie wiem, co było powodem tej krwawej ofiary, ale wiem, że jest nim zwykle — kobieta, źle mówię, samica. Gdyby statystycy w swych wykazach grupowali osobno samobójców i zabitych dzięki jej, zdumielibyśmy się nad wysokością cyfry tych nieszczęśliwych. Zdawałoby się, że jeżeli kobieta z wielu wielbicieli wybiera jednego i stanowczo oddaje mu swoje serce lub wraz z niem rękę, inni nie mogą mieć do niego żadnej pretensyi i wyzywać go do walki. Rzeczywiście tak jest, a wypadki pojedynków z uczciwą i zdecydowaną w swych uczuciach panną bywają bardzo rzadkie. Ale na widownię zalotów najczęściej występuje „flirtownica,“ której to pochlebia, że ją oblega gromada konkurentów, której sprawiają przyjemność ich zabiegi i wzajemne nienawiści, która umyślnie nie wyróżnia żadnego, wszystkim zarówno odważa swe względy, jak aptekarz proszki i utrzymuje ich w niepewności, ażeby nie uszczuplić sobie tryumfalnego orszaku. Patrzy z zadowoleniem, jak cietrzewiowa kura na kogutów, które staczają o nią zacięte boje, i dopiero gdy najmocniejszy pokona innych, odlatuje z nim. Zamiast szpon i dziobów koguty ludzkie używają szpad i pistoletów. Ponieważ żaden z nich nie jest przez kurę wybranym, a żaden dobrowolnie ustąpić nie chce, więc losem lub walką orężną rozstrzygają, który ma być szczęśliwym zwycięzcą. I oto zawiązuje się pojedynek. Są flirtownice, które obryzgawszy się krwią pole-

głych wielbicieli, plamę jej czują na swem sumieniu do końca życia i daremnie usiłują zmyć ją łzami spóźnionego żalu. Ale są tak wynaturzone, że najtragiczniejszy wynik pojedynkowego starcia o nie napawa je dumą i rozkoszą. Niejedna zgodziłaby się przez dwa sezony chodzić w staromodnych sukniach, aby tylko słyszała lub domyślała się około siebie szeptu:

— Za nią ktoś zginął w pojedynku.

Co za chwała mieć takie wspomnienie! Śród wielu postaci istnienia, w które nie umiem wcielić się myślą, jedną z najbardziej niepojętych dla mnie jest taka zimna flirtownica. Pomijam nawet wypadki gry w kokieteryę zakończone śmiercią, której upiór włóczy się potem ciągle za jej sprawczynią; czy samo wyzwanie się współzalotników nie jest aktem krzywdzącym cześć rozumnej i uczciwej kobiety? Zdaje mi się, że ona wtedy przejęta najwyższą zgrozą powinna krzyknąć:

— Ja, człowiek z sercem, z wolą, godnością, ja mam być przedmiotem boju samców, jak kura, łania, lwica? Ja nie wybieram sama tego, którego pokochałam, ale należyć będę do tego, który celniej strzelił, zręczniej pchnął szpadą lub w losowaniu wyciągnął białą gałkę? Więc moje uczucie nie ma w tej sprawie żadnego głosu, tylko rozstrzyga ją siła lub traf?

Tak, to jest okropne dla człowieka, lecz nie dla flirtownicy. Ją od kolebki uczono, że powinna się wszystkim podobać, być kometą z długim ogonem wielbicieli, słupem lodu w kraterze rozpalonej lawy, „zawracać mężczyznom głowy,“ doprowadzać ich do szału i rozpaczy. To się nazywa przecież „rozumnem wychowaniem kobiety.“ Takie młode kurki, zostawszy kwokami, przekazują swym córkom tradycyę strategii salonowej. I tak od wieków powtarza się w tej pedagogice przykazanie: „Pamiętaj, Maniu lub Zosiu, że nie należy odrazu wyróżniać żadnego mężczyzny, bo nie wiadomo, który z nich okaże się korzystniejszym. Zresztą panna z jedną kartą w ręku wygląda zawsze ubogo, powinna mieć tych kart pełną rękę. Przy jednym mężczyźnie wygląda tak, jak gdyby on jej robił łaskę, a tu trzeba, ażeby wybrawszy go z wielu, dała poznać, że ona robi mu łaskę. Twój ojciec długo musiał natrapić się, zanim otrzymał moją zgodę, dlatego był dobrym mężem.“ Naturalnie, jeżeli która z tych zacnych matron posiada w swych dziejach pojedynek, nie zaniedba pochwalić się nim przed córką, a jeżeli jeszcze pojedynek zakończony śmiercią, dodaje z dumą, skromnie ukrytą pod spuszczonemi oczami: „Za mnie nawet ginęli.“ Rzeczywiście, zwykle za takie kobiety giną mężczyźni i zdaje im się, że poświęcają życie swoje godnie.

Każde doniesienie o przebiegu wskrzeszonych igrzysk olimpijskich w Grecyi przeszywa nam serce sztyletem. Boże, czemuż my tego nie widzimy, my, którzy najsilniejsze zadowolenia czerpiemy oczami! Nie mamy nawet tej pociechy, ażeby tam do zapasów stanęli nasi. Wprawdzie turnieje międzynarodowe nie przyniosły nam dotąd ani jednej palmy; wprawdzie pp. Horodyński i Osiński zostali sromotnie pobici w Petersburgu, ale naprzód wiemy, że od pewnego czasu p. Horodyńskiemu stale zdarza się przed metą jakiś nieszczęśliwy przypadek, który i obecnie pozbawił go zaszczytnego tytułu, a powtóre nie cała nasza potęga spoczywa na cyklistach. Mamy przecież znakomitych atletów, piechurów, jeźdźców konnych itd. Bardzo łatwo mógł się przedstawić w Olimpie taki widok: Występuje p. Pytlasiński, który chwyta po kolei Anglików, Amerykanów, Włochów, Węgrów, Niemców, Greków i przerzuca ich po za siedemdziesięciotysięczny tłum widzów jak kocięta i zostaje sam na arenie. Wtedy ku ogólnemu zdumieniu z pobliskiej świątyni wychodzi i staje do walki jakiś olbrzym. Poznają go wszyscy, oblewa go morze oklasków — to Herkules. P. Pytlasiński porywa go za bary, probuje powalić naprzód metodą szwajcarską, potem francuską, dwa kolosy zaryły się stopami w ziemię, mięśnie ich wyprężają się, ścięgna trzeszczą, nareszcie syn Herkulesa pada, a nasz Pytlasiński nadeptawszy go nogą, podnosi zwycięzką rękę. Gdyby wtedy widzów nie ogarnął taki szał, jak po odśpiewaniu przez Battistiniego serenady w *Don Juanie*, gdyby oni krzykiem *bis! bis!* nie zmusili naszego bohatera do czterokrotnego powtórzenia swej sztuki, należałoby zupełnie zwątpić o wrażliwości i sprawiedliwości Europejczyków. A gdybyśmy my po tym tryumfie twierdzili, że jeszcze coś nas bardziej wzrusza, bylibyśmy niegodni starać się o jakiekolwiek „mistrzowstwo jazdy.“

Ale wszystko to jest tylko marzeniem. Ani p. Pytlasiński, ani nikt z nas nie przyjął udziału w igrzyskach olimpijskich, musieliśmy poprzestać na zdawaniu egzaminu w Towarzystwie cyklistów dla otrzymania numeru do jazdy po mieście i na przypatrywaniu się odnowionym trybunom i totalizatorom wyścigów konnych. Po za temi dwiema przyjemnościami i teatrem każdy pracowity warszawiak zaczyna być Salomonem i mówi: *Vanitas vanitatis*...

Niegdyś większych właścicieli ziemskich zajmowały bardzo wybory radców do Towarzystwa kredytowego. Dziś i ta rozrywka zbrzydła im i znudziła się. Według *Słowa*, z 682 uprawnionych do głosowania, przybyło na wybory do Kalisza 68, a 594 pozostało w domu, uważając, że szkoda fatygi i kosztów na taką mizerną zabawkę. Nie znęcił ich nawet znakomity projekt p. Józefa Łubieńskiego, który miał być rozbierany na zgromadzeniu a ogłoszony został w *Słowie*. Szan. autor tłomaczy myśl swoją bardzo jasno: Ponieważ „całoroczny bilans rolnika częstokroć zamyka się deficytem, na utrzymanie rodziny nic lub nader mało pozostaje się w udziale, niejednokrotnie zaś raty Towarzystwa wypada pokrywać z jakich ubocznych źródeł,“ przeto powinno ono zarzucić dotychczasowy rygor i nie sprzedawać dóbr za zaległe raty, lecz wziąć je w ojcowską kuratelę. Mianowicie: „usunąć na pewien czas właściciela od gospodarstwa z pozostawieniem go w mieszkaniu,“ nadto „udzielić mu nieznacznego rocznego utrzymania, za co on, jako dozorujący w gospodarstwie, mógłby pracować,“ „zaforszusować kilka tysięcy rubli na konieczne nakłady i wydatki gospodarskie,“ „stworzyć kapitał przez częściową odprzedaż dóbr,“ wreszcie zastosować „inne tego rodzaju środki.“ Logika, znajdując ten projekt zupełnie zasadnym, chciałaby tylko wiedzieć tyle: 1) jakim sposobem instytucya finansowa mogłaby gospodarować w tylu majątkach, ile wystawia na sprzedaż? 2) skądby brała nawet na „nieznaczne utrzymanie właściciela,“ jeżeli bilans nic dla niego nie wykazuje? 3) jaką rękojmię przedstawiałby ten właściciel, gospodyrujący na rachunek Towarzystwa w majątku, który doprowadził do subhasty, władając nim na rachunek własny? Oprócz tych wątpliwości, reszta projektu nie nasuwa zarzutów. A nawet jest on może zbyt skromnym. Ja bym poszedł znacznie dalej i zażądał od Towarzystwa, ażeby ono, objąwszy w administracyę jakiś folwark, nietylko dało jego właścicielowi mieszkanie i pensyę, ale kupowało jego synom mundurki, córkom sukienki, a nawet w potrzebie przysyłało mu delegatów do kołysania dzieci. Wtedy dopiero możnaby powiedzieć, że Towarzystwo rzeczywiście opiekuje się większą własnością ziemską. Że tam ktoś sarkałby, widząc radców komitetu, dyrekcyi głównej i szczegółowych, rozwieszających pieluszki niemowląt i załatwiających sprawunki subhastowanemu, to mniejsza; żadna czynność obywatelska nie ubliża. Niestety, są u nas ludzie, stale powtarzający, że może niczem bardziej nie zdradzamy naszej niedojrzałości ekonomicznej, jak ciągłą chęcią wynaturzenia instytucyj społecznych; ale ktoby zważał na te piski i dziobania złych ptaków, „kalających własne gniazdo.“ To pewna, że jeśli projekt p. Ł. wejdzie w życie, wszyscy kupimy sobie dobra. Prawda?

Poseł Prawdy.

NĘDZA LUDU WIEJSKIEGO W GALICYI.

III.

Zbliżyłem się teraz do jednej z najważniejszych przyczyn, posiadającej charakter ogólno-cywilizacyjny, na którą jednak u nas ci, którzy zastanawiają się nad położeniem ludności wiejskiej, wcale uwagi nie zwracają.

Wspomnieliśmy poprzednio o współzawodnictwie zamorskiem i o przesileniu, które miało być jego następstwem. Często bardzo zdarza się, że człowiek najbliższą przyczynę bierze za najważniejszą, dlatego, że ona widzialna dla wszystkich. Jest to zupełnie tak samo, jak gdyby człowiek obwiniał kij, który ból sprawia i rękę, która ten kij trzyma, a nie uwzględniał zupełnie dalszych przyczyn, jako motywów czynu. Współzawodnictwo na rynku zbożowym europejskim dotknęło własność chłopską Francyi, Szwajcaryi i Niemiec jeszcze bardziej, niż u nas, a jednak nie wywołało ani powszechnej nędzy, ani jej następstwa — emigracyi. Rzecz przeto oczywista, że jakkolwiek owo współzawodnictwo było klęską dla większej własności ziemskiej w całej Europie, nie wywołało jednak tak strasznych następstw dla właścicieli folwarków, jakie ujawniły się w ciągu ostatnich lat w Galicyi pośród włościan.

Z tego wynika, że muszą istnieć jeszcze jakieś ukryte przyczyny, podkopujące byt włościan, których albo nie znamy, albo je lekceważymy, a jednak one może najwięcej paraliżują całą akcyę, skierowaną do podniesienia materyalnego ludności włościańskiej. Istnieją one niezaprzeczenie. Jedną z nich jest charakter rozsiedlenia się ludności wiejskiej. Proszę przejechać przez całą Europę — wszędzie spostrzega się ten sam objaw: ogniska spożywające (np. miasta) są skupione, wytwarzające — np. gospodarstwa rolne — rozproszone.

Ponieważ nas interesuje tylko druga kategorya, o niej przeto mówić będziemy. W całej Europie, z wyjątkiem Galicyi, która stanowi zachodnią granicę świata słowiańskiego, gospodarstwo rolne leży zawsze na roli produkującej. Takich ognisk, jak u nas wieś, po za obrębem większego lub mniejszego miasta, prawie nie ma; rolnik siedzi na swojej ziemi, bo uważa ją za pewnego rodzaju fabrykę, przy której musi być ciągle obecny. Z tej też racyi cały czas jego i wszystkie siły poświęcone są gospodarstwu. Względy towarzyskie ustępują przed ekonomicznymi.

Jakże się dzieje u nas? Nasza wieś skupia wszystkie siły robotnicze w jednem miejscu, często bardzo oddalonem od roli uprawnej, tak że trzecią część czasu można liczyć za zmarnowaną przez robotnika i inwentarz, skutkiem przechodów. Gdybyż się na tem wszystko kończyło. Oddalenie stanowi przeszkodę do szczerego zajęcia się warsztatem — o przyczynę nie trudno: słota, niepogoda, przeszkody towarzyskie, a często niechęć zatrzymują robotnika w domu i pozwalają mu czas marnować. Bliskość karczmy nastręcza także niejedną ponętę i smutne następ-

stwa pociąga za sobą. Skupienie przeto ludności rolniczej we wsi, przy ciemnocie i wstręcie do pracy, wywiera najfatalniejsze skutki pod względem ekonomicznym i przynosi straty, które na setki milionów obliczyć można. Gdyby tylko, skutkiem oddalenia od swego pola i następstw płynących z zamiłowania w życiu towarzyskiem, włościanin tracił, raczej marnował trzecią część swej pracy i swego inwentarza, już to samo stanowiłoby w jego budżecie brak bardzo dotkliwy.

Obok tej przyczyny istnieje inna jeszcze, donioślejsza, a jednak nigdy w rachubę nie brana.

Postawmy sobie naprzód pytanie: jakie jest gospodarstwo włościańskie?

Każdy bardzo łatwo znajdzie na to odpowiedź. Zasadniczo niczem się ono nie różni od gospodarstwa folwarcznego. Chłop na kilku i kilkunastomorgowym kawałku roli prowadzi takie samo gosdodarstwo, jak właściciel folwarku. Nie ma on wprawdzie płodozmianu, który nikogo jeszcze od nędzy nie uratował, ale sieje tak samo, w odpowiednim stosunku, żyto, pszenicę, grykę, ziemniaki, odrobinę jęczmienia, koniczyny itd., kilka grzędek poświęca ogrodowiznom. I na tem koniec. Jakież tego następstwa?

Skutkiem oddalenia od swego mieszkania, które właściwie jest folwarkiem, gdyż cały zbiór do niego zwozi i wytwarza tam obornik, uprawia rolę źle, niedostatecznie i otrzymuje w końcu mniej, niż właściciel folwarku większego. Sprzedaje taniej, bo nietylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy, ale gdy posiada gorszy gatunek zboża; w dodatku sprzedaje nie dlatego, że mu zbywa od jego potrzeb, lecz że potrzebuje gwałtem gotówki. Sprzedawszy przeto odrobinę lichego ziarna, do siewu musi kupić lub pożyczyć jeszcze gorszego. Prowadząc zatem na wzór folwarku gospodarstwo swoje, podlega w większym tylko stopniu wpływom współzawodnictwa, rynku, cen itd. Jeżeli dodamy do tego brak zarobku, podatki, potrzeby domowe i rozmaite kłopoty, nie figurujące w budżecie, a jednak ciężkie i kosztowne, łatwo wówczas zrozumieć, dlaczego budżet włościanina zakończony bywa nędzą i szukaniem ratunku w emigracyi.

Uwagi powyższe, acz pobieżnie bardzo wypowiedziane, nasuwają pewne wnioski. Wszelkie ulepszenia techniczne — a tylko mała cząstka ich możebna przy tak drobnem gospodarstwie — przyniosą rezultaty minimalne, które wyjątkowo mogą przyczynić się do polepszenia bytu materyalnego włościan. Trzeba przedewszystkiem myśleć o tem, ażeby było co jeść, ażeby głód nie prowadził do nędzy, do zależności od lichwiarza i w końcu do zrzeczenia się kawałka ziemi posiadanej. Teraźniejsza organizacya gospodarstwa włościańskiego nie zabezpiecza posiadacza od głodu; nawoływanie do hodowli bydła, nawet przy zasiłkach, do siania sztucznych traw, wyjątkowo może przynieść pożytek tam tylko, gdzie bądź warunki naturalne, bądź ekonomiczne umożliwiają zastosowanie się do tych rad. Tam, gdzie rolnik nie ma co jeść, nie może być mowy o hodowli bydła, o trawach, o szkołach fachowych, melioracyach zbiorowych i innych pięknych mrzonkach.

Nędza ludu wiejskiego ma źródło w jego zacofaniu cywilizacyjnem. Warunki ekonomiczne życia nie są czemś stałem, jak słupy graniczne, one zmieniają się powoli, ale zawsze, a człowiek, który żyć pragnie, musi przygotowywać się do nich, jeżeli zmarnieć nie chce. Prawo to dotyczy zarówno gospodarstwa włościańskiego, jak i innych stron ekonomicznych. Rozdrobnienie ziemi postępuje ustawicznie i nie ma siły i sztucznych środków, które mogłyby je powstrzymać; obciążanie podatkowe rośnie ciągle i wzrastać będzie tak długo, jak długo militaryzm swoją ciężką dłonią będzie przygniatał życie państw zachodnio-europejskich. Kto chce żyć, musi się do tego zastosować. Wielka własność ziemska posiada inne warunki istnienia i inne środki, niż mała, włościańska. Pierwsza wytwarza głównie na sprzedaż, druga — przeważnie na spożycie, a jeżeli produkcya niedostateczna, jak w Galicyi, spotyka się wówczas z nędzą. Jeżeli gospodarstwo rolnika małego wyżywi go, wówczas to, co on zapracuje, wystarczy na podatki. Budżet będzie zrównoważony.

Jakże dojść do tej równowagi?

Mamy przykład na Zachodzie Europy. Niech włościanin galicyjski rzuci w kąt swoje małe folwarczne gospodarstwo a przejdzie do ogrodowego, do jarzyn, owoców i drobiu, jak we Francyi, Szwajcaryi, Włoszech i Niemczech, a nawet bez wahania można powiedzieć, w całej Europie zachodniej, wówczas ilość posiadanej ziemi nie będzie dla niego za małą, głód nie wypędzi go z domu, czas jego pracy będzie lepiej i równiej rozłożony. Zmiana powyższa nie stanie się jakąś powszechną receptą na wszystkie dolegliwości ekonomiczne, ale będzie niezawodną dyrektywą dla milionów drobnych rolników, których od nędzy uratować może.

Do tego ideału ekonomicznego zachodnich gospodarstw włościańskich jeszcze u nas, wogóle, bardzo daleko; my dotychczas myślimy tylko o tem, ażeby zaopatrzyć miasto w jarzyny i owoce; gospodarstwo włościańskie traktujemy tak samo, jak folwarczne i jednakimi środkami zaradczymi ratować chcemy to i tamto. Tymczasem to, co jednemu przynosi ratunek, drugiemu nietylko żadnej pomocy nie daje, lecz często — nędzę.

Na tym punkcie stanęła Galicya wschodnia. Może przecie z czasem program ratunkowy będzie postawiony inaczej, niż dziś i akcya z pola mało żyznego przeniesie się na drogę właściwą. Głodnym trzeba przedewszystkiem jeść dać, nauczyć przyrządzać sobie pożywienie, a potem dopiero można myśleć z pożytkiem o zwiększeniu dobrobytu.

S. W.

KONGRES KOBIECY.

Paryż, 14 kwietnia.

Cała współczesna kwestya kobieca wynikła — jak to już nieraz powtarzano — z zepchnięcia mężczyzny, a za nim i kobiety, w stan najemnictwa przemysłowego, które sprowadziło rozkład rodziny nietylko robotniczej, lecz i mieszczańskiej. Te bowiem czynniki albo spowodowały większą część dzisiejszych krzywd kobiety, uczyniły bolesnemi i szkodliwemi, albo też urządzenia, które dawniej jej nie ciążyły a przeszły w spuściznie po wiekach średnich do ustroju nowożytnego, jak np. przykucie do ogniska domowego i nierozerwalność małżeństwa. Kwestye te, roztrząsane na tegorocznym kongresie, o ile były specyalnie kobiecemi, były wszystkie związane albo z najemnictwem kobiety, albo z rozkładem rodziny; prócz tego, zawadzono o inne, które, jak wychowanie, wojna, obchodzą bezpośrednio kobietę jako matkę, więc od nich ona swój udział zaczyna w sprawach publicznych. Wreszcie nie zapomniano i o narzędziu wszelkich reform, najprostszym sposobie ich dopięcia — prawie politycznem kobiet.

W sprawach ekonomicznych najwyraźniej wystąpiła na jaw niejednolitość żywiołów składowych kongresu. Najżywsze, choć chaotyczne rozprawy wywołała kwestya opieki państwowej nad kobietami, pracującemi w fabrykach. Niedawne prawo francuskie, zarówno jak większość innych krajów, biorą kobiety pod troskliwszą opiekę, niż mężczyzn, określają mianowicie najdłuższy czas pracy, krótszy od mężczyzn. Otóż większość dam na kongresie, które nigdy nie kosztowały pracy fabrycznej, energicznie protestowała przeciwko podobnym prawom, a to w imię najczystszej zady *laissez faire*'ymu: wolności umowy. Kobieta powinna być uważana za pełnoletnią i wolną — mówiły — niech ona pracuje na takich warunkach, na jakich zechce. Jakby to „zechce“ nie było piękną ironią! Inne dowodziły, że można i należy prawnie regulować pracę kobiet, ale tylko w tym samym czasie i stopniu, co i pracę mężczyzn, bo inaczej kobietom trudniej będzie znaleźć zajęcie. Wprawdzie pani Vincent, przedstawicielka grupy szwaczek, wychodząc z zasady, że nieograniczona praca kobiet zniża płacę mężczyzn lub pozbawia ich pracy (na ten argument damy odpowiadają, że dowodzi on ze strony mężczyzn takiej samej egoistycznej obawy konkurencyi, jak u adwokatów, lekarzy itd., niechcących dopuścić kobiet do swych zawodów!), że zdrowie kobiet jest niezmiernie ważne ze względu na przyszłość ludzkości (co zapewne nazwą przykuwaniem kobiety do kołyski?), postawiła daleko idące wnioski: ograniczeniu pracy kobiet do 6 godzin dziennie, zakazu pracy nocnej i szkodliwej dla zdrowia, zakazu pracy przez dwa miesiące przed połogiem i dwa po nim itd. Ale te wnioski nie znalazły łaski u ideologicznych emancypantek, stojących widocznie bardziej na gruncie kwestyi damskiej, niż kobiecej. Przyjęto tylko platoniczną dewizę: za równą pracę równa płaca dla kobiet i mężczyzn.

Z drugiej strony przyjęto jednak żądanie, aby w każdej gminie ustanowiono obowiązujące przedsiębiorców minimum płacy dla kobiet, zastosowane do warunków miejscowych, kosztów utrzymania. Uchwalono dążyć do równouprawnienia kobiet z mężczyznami przy wyborach do sądów zawodowych mieszanych (prud'homes). Żądano w końcu zakazu produkcyi na sprzedaż w klasztorach, gdyż ręce robocze nie kosztują tam prawie nic, co strasznie zniża płacę robotnic świeckich. Przyjęto też wnioski, żądające obowiązkowego jednodniowego odpoczynku na tydzień, zaznaczając, że nie chodzi specyalnie o niedzielę.

To cały dorobek kongresu w dziedzinie pracy kobiet. Rzecz szczególna, o dopuszczeniu ich do uniwersytetów nie było tym razem wcale mowy, zapewne dlatego, że we Francyi nic już, prócz chyba szkoły sztuk pięknych, nie pozostaje do zdobycia. Wszak zjazd był międzynarodowy?

Za to kwestye, wypływające z rozkładu rodziny patryarchalnej monogamicznej były stanowczo głównym tematem obrad. Wykazały one, do jakiego stopnia ta forma rodziny jest już dzisiaj ruiną, trzymającą się tylko dzięki przymusowi prawnemu. Mężowładztwo, nierozerwalność małżeństwa, wychowanie dzieci przez rodziców — urządzenia te są energicznie zwalczane przez kobiety i to już zgodnie, bez różnicy warstw społecznych — zarówno jak klapa bezpieczeństwa monogamii burżuazyjnej — upaństwowiona, gwarantowana prostytucya.

Już August Comte powiedział, że poligamia jest daleko rzeczywistszą w Paryżu, niż w Konstantynopolu. Lecz mieszczanin, potrzebując jej dla swych synków w okresie wyszumienia, no i czasem dla siebie, pragnie ją mieć w dobrym gatunku, nie szkodliwą; dlatego oburzające się na myśl samą o interwencyi rządu w innych dziedzinach życia, piorunując nawet

nieraz przez usta Yves-Guyota na „hygienizm“ rządowy, krępujący handel i przemysł przez kontrolę fałszerstw — na punkcie nierządu jest zdecydowanym zwolennikiem systematycznej kontroli państwowej. Dlatego kobieta, raz wtrącona w tę przepaść, dzięki swej książeczce, nigdy się już z niej podnieść nie może. Feministki energicznie walczą przeciw temu, dążąc innymi środkami do usunięcia prostytucyi, tymczasem żądają one zniesienia jej kontroli przez państwo. W Anglii istnieje cała liga pod tem wezwaniem. Na kongresie podnosiły się też energiczne zgodne i liczne głosy, żądające zniesienia kontroli państwowej. Jedna z mówczyń z ironią żądała — jeśli prostytutki nadal mają być niejako armią na usługach państwa. — aby rząd zapewnił im przynajmniej emerytury na stare lata.

Z powodu znanego zarzutu, kierującego się względami zdrowotnymi, zjazd, na wniosek pani Szeligi, odpowiedział życzeniem, aby przy zawieraniu małżeństwa obie strony, a szczególnie mężczyźni, przedstawiały świadectwa zdrowia, ważniejsze z pewnością od metryki.

Dalej, w celu zniesienia prostytucyi, zjazd życzył sobie wcześniejszych małżeństw. Życzenie dość platoniczne, jeśli mu nie towarzyszy zmiana warunków ekonomicznych; ale charakterystyczne dlatego, że znowu połączone jest z objawem rozkładu rodziny, popieranym nawet przez przedstawiciela religii, pastora Hirscha: z żądaniem, aby pozwolenie rodziców, którego odmowa tak często jest przyczyną dramatów miłosnych, nie była wymagana przy zawieraniu małżeństwa. Cały kodeks cywilny Napoleona w kwestyi małżeństwa był przedmiotem gwałtownych napaści mówczyń. Chodziło najpierw o polepszenie położenia żony w małżeństwie, które, według prawa, jeśli już nie według obyczajów, jest niewolniczem. Domagano się dla kobiety prawa zarządzania swym majątkiem, pobierania osobiście swej płacy zarobnej, którą dziś mąż może zagarnąć zupełnie prawnie, choćby nawet żona nie żyła pod jego dachem, przepić lub wydać na miłostki; wypadki takie zdarzają się w rzeczywistości często. Prawo to przyznała kobiecie Izba deputowanych na wniosek Gairanda, d. 29 lutego r. b.; jeszcze jednak nie jest zatwierdzone przez senat. Rezultat ten należy bez wątpienia przypisać agitacyi feministek tutejszych.

(D. n.).

Kazimierz Krauz.

Z NIEMIEC.

Berlin, w kwietniu.

Urządzając „Wieczór kobiecy,“ stowarzyszenie prasy berlińskiej dowiodło, iż miewa nieraz dobre pomysły. Śmietanka świata damskiego zapełniła jedną z najpiękniejszych sal tutejszych, aby posłuchać deklamacyi chłopki-poetki, Joanny Ambrosius, i odczytu działaczki społecznej, Lily v. Giżyckiej, wdowy po znanym etyku, Jerzym. Pierwsza do dwudziestu lat pisała wiersze, nie ogłaszając ich drukiem. Dopiero r. 1894 jakaś znajoma skłoniła ją do ogłoszenia swych utworów, które od tego czasu wyszły już w 24 wydaniach. Gdy przed dwoma laty ukazało się w tłomaczeniu niemieckiem wielkie „La fatalita“ młodej nauczycielki ludowej, Włoszki Ary Negri, w prasie dały się słyszeć skargi, iż wśród ogromnej liczby piszących kobiet niemieckich nie ma ani jednej, która mogłaby iść w zawody z utalentowaną Włoszką. Aliści przypadek chciał, iż wtedy właśnie przyjaciółka Ambrosius namówiła ją do ogłoszenia swych utworów. Wieść o odkryciu Negri rozeszła się szybko po całych Niemczech i za granicą. Gdy zajrzano jednak do poezyj chłopki, nastąpiło rozczarowanie, gdyż zamiast gorących uczuć i namiętnych nawoływań do walki otrzymano elegie, pełne pokory i smutku. Z czasem jednak rozczarowanie ustąpiło miejsca zachwytowi. Z utworów Joanny Ambrosius tchnie szczere, proste uczucie, chwytające za serce czytelnika. I oto teraz przed świetną publicznością berlińską, przed wystrychniętemi i wyperfumowanemi damami, stanęła chłopka poetka, aby zwierzyć się w wierszach ze swego życia i przeszłości, w której zaznała dużo pracy i niedoli, a mało wesela. Dziwnie odbijała na tle wspaniale udekorowanej sali i bogatych toalet czarno ubrana chuda chłopka o spracowanych, niezgrabnych rękach i czarnych, smutnych oczach. Przed publicznością, która połowę swego czynnego życia spędza w różnych „badach“ a drugą zabija na flircie w buduarach, mówiła poetka o rozkoszach pracy. A gdy w jednym ze swych smętnych utworów zaśpiewała hymny ubóstwa, które w pracy znajduje swe szczęście, o! wtedy po pudrowanych twarzach płynęły łzy wzruszenia, z piersi ściśniętych gorsetem wyrywały się westchnienia, las wysokich piór trząsł się na kapeluszach a la Rembrandt, a bielutkie, eleganckie rączki, upstrzone pierścionkami, układały się do szczodrych oklasków; oznaczały one zarówno uznanie dla talentu poetki, jak dla pracy i cnót chłopki.

Po Ambrosius wystąpiła na estradzie znana artystka Pospischilówna, aby zadeklamować utwory Maryi Janitschek, poetki salonów i buduarów. Tu dopiero okazało się, jaki czar posiada szczere uczucie. Sztuczne efekty i patetyczne zwroty poetki salonowej wychodziły blado i nikle po wylewach serca biednej chłopki. Nareszcie wystąpiła z odczytem pani Lily v. Giżycka. Córka generała Kretschmana, wyszła za sparaliżowanego prof. Giżyckiego jedynie po to, aby wspierać go w jego działalności. Wraz z mężem należała do założycieli głośnego „Towarzystwa etycznego“ i czasopisma „Kultura etyczna.“ Gdy po śmierci męża Towarzystwo i czasopismo sprzeniewierzyły się zasadom, którym hołdował nieboszczyk, biorący udział w ruchu etycznym, Gebcimraci z obawy hałasu zachowywali się tchórzliwie i biernie w donioślejszych sprawach społecznych, odważna Lily v. Giżycka zerwała z ruchem, ogłosiwszy przedtem w obszernym liście powody swego postępowania. Jednocześnie prawie założyła z panią Canes pismo kobiece, które miało stać na placówce społecznej.

Gdy niedawno 30 tysięcy szwaczek tutejszych ogłosiło bezrobocie, a pismo nie odważyło się otwarcie wystąpić w obronie t. zw. konfekcyonez, Lily v. Giżycka zerwała i z tem pismem i zajęła się czynnie sprawą szwaczek. Jeżeli jeszcze uwzględnimy, iż v. Giżycka napisała sporo bardzo pięknych broszur i artykułów w różnych kwestyach społecznych, ze posiadając niepospolity talent literacki i jednocześnie wszechstronne wykształcenie (między innemi wydała spuściznę po mężu: „Wykłady o etyce społecznej“), to zrozumiemy, iż ta kobieta musi zażywać wśród publiczności i w prasie wielkiego szacunku i popularności. Pani v. Giżycka miała odczyt o „nowej kobiecie w literaturze nowoczesnej.“ Wśród sykania i oklasków oznajmiła. iż dotychczas żadnemu autorowi nie udało się przedstawić „nowej“ kobiety. Najwięcej prelegentka poświęciła uwagi literaturze skandynawskiej. Ibsen pierwszy usiłował przedstawić taką istotę, rwącą się do życia samodzielnego. Lecz jego charaktery kobiece są ubogie pod względem uczucia. Nora' porzucając swego męża, pozostawia dzieci w atmosferze, od której ucieka. Jeżeli kiedykolwiek uda się uchwycić fizyognomię duchową nowej kobiety, nie nastąpi to prawdopodobnie ani w Anglii, ani w Skandynawii, gdzie antagonizm pomiędzy płciami wysunięto na plan pierwszy. W Niemczech, gdzie kobieta stopniowo zaciąga się do ruchu społecznego, wsparta o ramię mężczyzny, ma dążyć ku wyższym ideałom społecznym, musi nastąpić objawienie nowej kobiety w literaturze. Entuzyazm serca idealistycznego p. Giżyckiej oddziałał tak silnie na słuchaczki, iż odczytowi towarzyszyła burza oklasków.

Tutejszy oddział ligi pokoju zaprosił prof. Quiddego z Monachium na odczyt w kwestyi „Wojny i pokoju.“ Jest on jedną z najsympatyczniejszych osobistości uczonego świata Niemiec. Pomimo że jest wybitnym historykiem i wydawcą najlepszego pisma historycznego, bierze czynny udział w życiu społecznem. Jako członek partyi ludowej Niemiec południowych, bardzo często przemawia na zebraniach, oświetlając pilne sprawy doby bieżącej z punktu widzenia demokratycznego. Jako demokrata, jest przeciwnikiem militaryzmu i utrzymuje, iż rozwój społeczny dąży do zniesienia wojny. W odczycie swym starał się obalić zarzuty, przytaczane przeciwko aspiracyom pokojowym. Niesłusznie, zdaniem prelegenta, widzą w naturze człowieka główną przeszkodę przeciwko zniesieniu wojny; owszem, natura ludzka coraz więcej przejmuje się duchem pokojowym. Podczas gdy w starożytności wojny szalały i wewnątrz państw, dziś są one możliwe tylko pomiędzy państwami. Nie należy się więc powoływać na słowa wojaka z zawodu, Moltkego, iż „pokój powszechny jest mrzonką i w dodatku nie piękną.“ Czyż to prawda, iż wieczny pokój sprowadziłby letarg duchowy na ludzkość? Czyż nie widzimy odwrotnie, iż podczas wojny indywidualizm tonie w masie, a rozwija się wszechstronnie podczas pokoju? Wielu radzi pozostawić rozstrzygnięcie tej kwestyi dyplomatom. Atoli każdy, znający historyę nowszą, wie, iż dyplomaci gabinetowi muszą się liczyć z nastrojem i poglądami mas, w przeciwnym razie wszelkie ich obrachowania chybiają celu. Należy przeto zaszczepić w ludzkości przekonanie o tem, jak szkodliwe są wojny dla rozwoju kultury i że z ustaniem ich nastąpi szczęśliwszy okres historyczny.

Przed kilku tygodniami odbył się zjazd „Związku rolników niemieckich.“ Na kongresie tym piorunowano przeciwko wszystkim, którzy nie popierają hrabiego Kanitza. Wyklęto przytem ministra rolnictwa. Hammersteina, za jego odstępstwo i zagrożono mu, iż w razie jeżeli nie cofnie swych obelg, rzuconych na Związek, ulegnie bojkotowi; żaden rolnik nie przestąpi przez próg jego mieszkania. Wiadomem jest wprawdzie, iż nie należy brać szeroko wszystkich pogróżek i tyrad agraryuszów. Zachodzi jednak obawa, iż przedstawiciele tego prądu mogą znaleźć posłuch u steru dla niektórych swych żądań. Cały stan handlowo-przemysłowy zaprotestował przeciwko polityce agrarnej na kongresie handlowym, który się odbył niedawno. Pomimo iż dwu ministrów starało się uspokoić, wzburzone umysły, po upływie kilku dni zebrali się delegaci korporacyj handlowych z całych Niemiec dla utworzenia „związku obronnego“ przeciwko nadmiernym roszczeniom agraryuszów. Przedewszystkiem starano się podkreślić, iż prawo margarynowe i giełdowe, które mają być zaprowadzone gwoli łagodzenia agraryuszów, są zboczeniem z drogi, po jakiej kroczył dotychczas rząd niemiecki, starając się nie krępować zbytnio życia przemysłowego. Tego rodzaju środki prawodawcze budzą podejrzenie, iż rząd nie

żywi zaufania do przedstawicieli kapitału ruchomego; w ten sposób zniesławia się handel niemiecki w oczach zagranicy. Nadmienię jeszcze, iż zebranie nosiło charakter burzliwy. Niektóre mowy przypominały te dobre czasy, gdy przedstawiciele kapitału ruchomego lub ich rzecznicy przemawiali w imieniu całego narodu. Szczególnie piorunującą mowę wygłosił stary parlamentaryusz i działacz z r. 48, Ludwik Bamberger. Słuchając jego mowy, można było poddać się złudzeniu, iż koło historyczne cofnęło się co najmniej o dwa dziesiątki lat.

H. F.



DOBORY SPOŁECZNE.

III.

Rozbiór, któremu Lapouge poddał dobory, dotychczas działające wśród narodów, usposabia go do bardzo pesymistycznego spoglądania na przyszłe losy rodu ludzkiego pod względem antropologicznym. Skład emocyonalny i umysłowy ludów cywilizowanych zmienia się bowiem na gorsze. Dobory dotychczasowe, które odbywały się w sposób żywiołowy, nie okiełznane przez świadomość, ani wolę ludzką, ogołacały zawsze naród z najdzielniejszych pierwiastków.

Historya jest nieprzerwaną opowieścią o ofiarach i poświęceniach, zaparciu się i spełnieniu swego obowiązku, śmiałości i awanturniczości. Najlepsi synowie narodu, najenergiczniejsi, najczynniejsi i najodważniejsi, szli pierwsi w ogień, ażeby utorować drogę dalszym zastępom, marnotrawili swoje siły w zapasach politycznych i odszczepieństwach religijnych, ginęli przedwcześnie, zstępując nietylko sami do grobu, lecz pociągając za sobą nieskończone szeregi możliwych potomków. Setki tysięcy Gallów zginęły, stawiając czoło najazdowi Rzymian: dobór, który dokonywał się na polu bitew i w następstwie powstań, pochłonął właśnie śmietankę ówczesnych eugenistów, wyjałowił kraj i pozostawił w nim tylko wybiórki. Okres feodalny, z jego nieustannemi wojnami i wyprawami, wzajemną niesnaską baronów, zdziesiątkował narody, bo uniósł z pośród nich najwybrańsze żywioły. Dodatni typ emocyonalny, rozstrzygający o roli pewnego ludu w historyi, przeważał wśród szlachty; tymczasem mężczyźni tej warstwy opłacali krwią swoją wartość antropologiczną, dziewczęta zaś więdły w klasztorach, bo zwyczaj nie pozwalał im poślubiać plebejuszów i utrwalać tą drogą swoich zalet organicznych. W ciągu całych wieków tępiono mieczem i ogniem heretyków: tysiące albigensów, lolardów i husytów życie swoje oddali w zamian za protest, którego stali się głosicielami. Polot krytyczny mózgu i śmiałość myśli doprowadziły ich do dania posłuchu nowinkom heretyckim, prześladowanie i śmierć zaś ogołociły społeczeństwa z tych śmiałków, mających odwagę odbiedz od ścieżek rutyny. Inkwizycya w Hiszpanii uprzątała prawie do obecnego stulecia wszelkich odszczepieńców, niedowiarków i wolnomyślnych. Były tam stulecia, w ciągu których rocznie ginęło przeciętnie około tysiąca eugenistów. Osięgnięto celu, bo wytępiono w tym nieszczęsnym kraju zarodki postępu i myśli krytycznej. Niemniej ujemne skutki wywiera dobór, urządzony we Francyi przez Ludwika XIV: prześladowani hugenoci zanoszą do obcych krajów, wraz ze swoją dzielnością antropologiczną, przemysł i inicyatywę. Już Candolle wykazał, że wygnańcy wydali z pośród siebie nieproporcyonalnie wielką liczbę znakomitości na różnych polach działalności umysłowej. W świecie nauki Genewa tylko im zawdzięcza swoją sławę. Walki polityczne wydają takie same ujemne skutki. W oczach historyka wrogie partye nie miały i nie mają z sobą nic wspólnego, ale dla antropologa obraz zapasów i wojen domowych wygląda inaczej. Najdzielniejsi przedstawiciele narodów, eugeniści z krwi i kości, tępili nawzajem siebie, prześladowali i niszczyli. Walki Sylli i Maryusza, górali i żyrondystów były to pojedynki tytanów energii, woli i uczucia, którzy rozdzieleni przekonaniami i interesami politycznymi, pożerali się wzajemnie tylko po to, ażeby niziom antropologicznym zostawić wolne miejsce dla mnożenia bezwładności i nicości w coraz liczebniejszych okazach. Nadeszły z biegiem czasu inne jeszcze dobory, które systematycznie oczyszczają społeczeństwo z „dobrze urodzonych" pierwiastków i skazują eugenistów na rychlejszą zagładę lub śmierć przedwczesną i bezpotomną. Tak działa kościół katolicki, zobowiązawszy kapłanów swoich do celibatu: duchowieństwo zgromadziło w swoich urządzeniach osoby, bądź co bądź stojące powyżej nad przeciętną normą narodu. Tak samo wpływa wojskowość tegoczesna, zabierając kwiat młodzieży pod względem fizycznym. W podobnie szkodliwy sposób oddziaływają miasta nowoczesne, ściągają one bowiem, z całego kraju, charaktery najenergiczniejsze, zamykają je w niezdrowem otoczeniu wielkiego zbiorowiska ludzi, w którem zbywa na powietrzu, słońcu i warunkach zdrowego bytu, oraz odbierają im zdolności rozpłodcze.

„Analiza doborów społecznych — powiada Lapouge — doprowadza w ostatecznym swoim rezultacie do wniosków jak najrozpaczliwszych. Przyszłość bynajmniej nie będzie należała do najlepszych, co najwyżej tylko do średniej wartości charakterów. W miarę rozwoju cywilizacyi, dawne dobrodziejstwa doborów naturalnych zamieniają się dla rodu ludzkiego na plagi i klęski. Każdy postęp, w gruncie rzeczy pozorny raczej niż głęboki, bywa drogo okupiony, bo z kapitału zapasowego dzielności i energii, woli i inteligencyi. Z tego to powodu tyle wielkich ludów zniknęło z widowni dziejowej, szczątki zaś, które po nich pozostały, nie mogą być użyte nawet na utworzenie nowych. Żadna rasa nie zdołała się oprzeć temu dziełu zagłady i wyjałowienia. Cywilizacya toruje sobie drogę całą mocą swojej prężności, nasza wiedza i potęga materyalna wzrastają pod wpływem gromadzenia doświadczeń, lecz człowiek, z antropologicznego punktu widzenia, przedstawia wartość coraz mniejszą, i czasów wspaniałych, o których marzą utopiści dla przyszłych pokoleń, dożyją zaledwie okazy przeciętne, ażeby pozostawić po sobie szczep jeszcze pośledniejszy."

Proroctwo to brzmiące bardzo posępnie! Wogóle Lapouge dał się nieco unieść tak modnemu obecnie pesymizmowi. Usiłuje on dowieść, że rozwój w każdej dziedzinie wszechświata kończy się bankructwem i zanikiem. Zapuszcza się więc w daleką przeszłość świata zwierzęcego, wskrzesza wygasłe postacie Ichtyosaurusów i innych jestestw wymarłych, nawet opuszcza glob ziemski i rozgląda się po przestworach planetarnych, ażeby w ostatecznym wyniku zawyrokować, że lepsza przyszłość przypadnie w udziale tylko wybiórkom i że olbrzymi myśli i czynu tylko dlatego sterali swoje siły i nawet życie, ażeby spuściznę po sobie oddać takim spadkobiercom.

Wywody antropologa francuskiego, o ile dotyczą wieków ubiegłych, oraz obecnej doby dziejowej, są słuszne. Historya dotychczasowa kształtowała się bardzo niepomyślnie dla żywiołów eugenistycznych, które, powstawszy w epoce przedhistorycznej skutkiem działania doborów naturalnych, w ciągu okresu cywilizacyjnego zwolna giną i marnieją w sposób najrozmaitszy. Ale ofiary i poświęcenia nie poszły na marne. Wiedza z pogardzanego kopciuszka zamieniła się na pierwszorzędną potęgę. Cywilizowane szczepy ludzkości rozporządzają dzisiaj bogatym zasobem faktów, które powinny je oświecić co do znaczenia i następstw wyjałowienia antropologicznego. Biologia odkryła znaczenie prawa dziedziczości i wykazała, że zastosowano należycie, może stać się ono dźwignią przewrotu, o jakim trudno na razie wyrobić sobie jasne pojęcie. Miejmy nadzieję, że przy jej pomocy uda się przyszłym pokoleniom odwrócić niebezpieczeństwo, zagrażające szczepowi ludzkiemu i na miejsce doborów, ślepo odbywających się i pozbawiających naród najlepszych żywiołów, urzeczywistnić celową antropotechnikę, dodatnią a systematyczną. Idea ta od paru dziesiątków lat kołacze się w umysłach wielu badaczy-biologów. Nawet Lapouge nie zaprzecza możliwości zastosowania tego środka, chociaż powątpiewa, czy zdoła on oddziałać w sposób dostatecznie wpływowy, ażeby powstrzymać szkodliwe skutki rozwoju samorzutnego. Teoretycznie rzecz biorąc, przyznaje on, że za pomocą świadomie stosowanego doboru można byłoby osiągnąć rezultaty jak najpomyślniejsze.

„Jest rzeczą niewątpliwą, że można byłoby stworzyć dowolny typ duchowy i między innemi osiągnąć dla narodu poziom jednostajny, odpowiadający najwyższemu wykwitowi zdolności umysłowych społeczeństw obecnych. W podobny sposób zdołalibyśmy stworzyć szczep muzyków, gimnastów, naturalistów. Z pośród Australczyków, Buszmenów lub Eskimów mogłaby z biegiem czasu powstać najdoskonalsza ludzkość, tak samo, jak z blondynów długogłowych. Naturalnie, *homo europaeus* jest bliższy tego ideału, niż inne odłamy rodu ludzkiego, lecz każdy może, bądź co bądź, dosięgnąć takiej doskonałości. Rasy przodujące mają tę wyższość, że posiadają w swojem łonie znaczny zasób jednostek dzielniejszych, dostatecznie obfity, ażeby służyć za podstawę dla przyszłej próby, tymczasem niższe musiałyby rozpocząć od mozolnych wysiłków stworzenia naprzód takiego zarodkowego zastępu."

Oddziaływając na pewien naród za pośrednictwem świadomego doboru małżeńskiego, można głęboko zmienić jego fizyognomię. Z punktu teoretycznego najdziksze rojenia jednakowo mogą być urzeczywistnione. Moglibyśmy powołać do życia arystokracyę naturalną, przedstawiającą cały kapitał antropologiczny społeczeństwa i rządzącą bezwzględnie ziomkami, lub rozbić naród na parę ras odrębnych, wyspecyalizowanych pod względem uzdolnień i skłonności, albo wreszcie całą gromadę rodaków podnieść na dowolny poziom energii i umysłowości, nadać jej zdolności aklimatyzacyjne i usunąć z globu ziemskiego innych współzawodników. Tak rzeczy przedstawiają się, jeżeli antropotechnikę będziemy rozpatrywali w oderwaniu od warunków jej urzeczywistnienia. W dzisiejszej epoce dziejowej, w której wiedza jest dobytkiem tylko nielicznych kół, świadomy dobór z konieczności przybrałby postać arystokratyczną, krzewiony w łonie stowarzyszeń lub szerszych związków. Ażeby stal się on dźwignią demokratyczną, ogarniającą cały naród, trzeba uprzedniego rozpowszechnienia oświaty w społeczeństwie, i to oświaty nie zdawkowej, polegającej na umiejętności czytania, pisania i rachunku, lecz dającej wyobrażenie o prawach przyrody.

Tylko wówczas może się zrodzić pobudka moralna, nakazująca rodzicom jedynie wtedy pozostawiać potomstwo, gdy ono będzie miało szanse przyjścia na świat zdrowem i zdolnem.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

ODCZYTY.

Dr. Henryk Nussbaum: *Stanowisko kobiety w społeczeństwie z punktu przyrodniczego.*

Przed paru tygodniami przełożona pewnej pensyi żeńskiej narzekała przedemną na trudności, jakie napotyka przy oddaniu nauczycielkom wykładów arytmetyki, tudzież geografii w niższych klasach. Pedagogowie zżymają się na to, dowodząc, że tylko mężczyzna może wywiązać się dobrze z tych obowiązków. Natomiast dr. Henryk Nussbaum zaprotestował przeciw praktyce lekarskiej, jako nieodpowiedniej dla umysłowości żeńskiej, i odesłał kobietę do pedagogiki. Wreszcie w pracy Lombrosa i Ferrero, świeżo przełożonej na język polski, pewien kucharz oświadcza, że kobieta może być pomywaczką, lecz nigdy nie zostanie dobrą kucharką. Któremu z proroków mamy wierzyć? Kobieta postąpi najrozsądniej, gdy nie usłuchawszy żadnego z doradców, zagarnie nowe pola zarobku. Prelegent odradza medycynę, jako zanadto przepełnioną. Może, ale bądź co bądź kobieta tam znajdzie większą niezależność, oraz pewność bytu, bo w zachwalanej pedagogice droga życia jest najeżona kolcami poniżeń, chodzi się zaś po niej w dziurawych trzewikach*).

Odczyt d-ra H. Nussbauma był poświęcony rozpatrzeniu stanowiska kobiety w społeczeństwie z punktu przyrodniczego. Prelegent usiłował dowieść, że ustrój kobiety jest odmienny, niż mężczyzny i milcząco, doborem faktów, podsuwał wniosek, że przystoją jej inne zajęcia, np. rodzajowi męskiemu — medycyna, żeńskiemu zaś pedagogika.

Przedstawił więc nam drobiazgowo różnice, istniejące w budowie układu kostnego — najniepotrzebniej, bo o stanowisku społecznem kobiety rozstrzygają i rozstrzygać mogą jedynie zdolności duchowe. Były one jednak na miejscu z punktu widzenia prelegenta: ogłuszyły mało wyrobioną publiczność, i zarazem przygotowały ją do przyjęcia ostatecznej tezy, oraz zamaskowały braki w materyale porównawczym, dotyczącym mózgu. Nie jakością, lecz ilością dr. H. Nussbaum zdobywał twierdzę! Rozpatrzywszy pobieżnie ważniejsze już różnice fizyologiczne, zwrócił się do przedstawienia stosunków, właściwych mózgowi obu płci. Stwierdził więc, że mózg kobiety odznacza się mniejszą wagą i objętością, przyczem poprzestał na podaniu wielkości bezwzględnych, chociaż tylko względne, tj. wyrażające ciężar mózgu w ciężarze całego ciała, jedynie byłyby coś warte. Upośledzenie mózgu kobiecego, zdaniem prelegenta, nie świadczy o niższości, lecz jedynie o odmienności jego, i co zatem idzie, o odmienności uzdolnień umysłowych. Musimy zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu przedmiotu. Może mniejsza waga środkowego organu działalności umysłowej nie jest jeszcze dowodem niższości naszej towarzyszki, są jednak inne fakty, stwierdzające to upośledzenie. Mianowicie, Topinard oblicza, że u mężczyzny rasy białej waga mózgu wzrasta do lat 30—35, później przez lat kilka stoi na tym samym poziomie, w końcu zaś zaczyna się uwiąd starczy (zmniejszanie się wagi). Tymczasem u kobiety wzrost kończy się około roku 25-go.

Dr. H. Nussbaum przytacza fakty, świadczące, że różnice pomiędzy mózgiem mężczyzny a kobiety wzrastają wraz z rozwojem cywilizacyi. Ma to dowodzić, że „cywilizacya“ sprzyja „kobiecości,“ bo rozszerza przedział między płciami. Przedstawiono ją w odczycie, jako mądrą dobrodziejkę: pochód cywilizacyjny zwiększył mózgi, spotęgował różnice płciowe, podniósł męskość mężczyzny i kobiecość kobiety. Niestety, pochwały to niezasłużone. Broca wykazał, że barbarzyńca we Francyi miał większej pojemności czaszkę, niż dzisiejszy paryżanin, antropologia zaś ostatecznie utrwaliła ten fakt. Zatrzymamy się tylko nad kobietą. Tablica daje nam pojemność czaszki w centymetrach sześciennych (P. Broca):

1) *Epoka kamienia gładzonego we Francyi.*

Czaszki z jaskini l'Homme-Mort . .	1,507	cm. sz.
„ „ „ . .	1,453	„
„ z różnych innych miejsc . .	1,375	„
„ z jaskiń de Baye	1,407	„

2) *Barbarzyńcy francuscy i obecni.*

Czaszki mieszkanek Gallii	1,457	„
„ z okresu Merovingów . . .	1,378	„
„ Eskimów	1,429	„
„ Polinezyjek	1,381	„

3) *Cywilizacya.*

Czaszki obecnych paryżanek . . .	1,337	„

A zatem Francuzki z okresu barbarzyńskiego miały mózg większy, niż dzisiejsza paryżanka! Le Bon z tego powodu robi uwagę, że w ognisku obecnej cywilizacyi, w Paryżu, powstaje rasa mózgowa kobieca, niższa, niż dzikie wyspiarki oceanu Spokojnego! Gdzież podziały się więc tak wysławiane dobrodziejstwa cywilizacyi? Tak samo moglibyśmy wykazać niesłuszność innego wywodu prelegenta: o wzrastaniu różnicy mózgowej między mężczyzną a kobietą równolegle z cywilizacyą. Dość będzie przytoczyć cyfr parę co do przedziału pomiędzy obu płciami (P. Broca):

Paryżanie	222	c. sz.	Paryasi aliparscy	222	c. sz.
Owerniacy	153	„	Murzyni	186	„
Sabaudczycy	121	„	Australczycy	166	„

Paryżanie stoją na równi z paryasami, lecz zdala od swoich rodaków, Murzyni i nawet Australczycy przewyższają cywilizowanych Owerniaków rozległością różnicy! W niektórych razach przedział jest nawet bardzo znaczny, lecz nie cywilizacya i przyroda, tylko brutalność mężczyzny sprawiła tę przepaść. Chuć męzka nie zna granic: u Ebów 8—9 letnie dziewczęta są matkami, u Australczyków rodzice oddają dziecko 8—10 letnie narzeczonemu. W takiem postępowaniu tkwi najprawdopodobniej źródło upośledzenia kobiety. Tylko wtedy tablica różnic pomiędzy wagą mózgów męskiego i kobiecego byłaby oparta na podstawie naukowej, gdyby wzięła pod uwagę formy pożycia małżeńskiego, istniejące u ludów, nie zaś pochód cywilizacyi.

Wogóle musimy zastrzedz się przeciw bałwochwalstwu d-ra Nussbauma dla dzieł przyrody. Natura dla niego jest mistrzynią, tworzącą dobrze, pięknie i mądrze. Mylny to pogląd; zadaniem rodu ludzkiego jest właśnie ujarzmienie przez sztukę tej kapryśnicy, która marnotrawi olbrzymie siły, ażeby wydać małe rezultaty. Środki nasze potężnieją, zootechnicy zaczynają nawet marzyć o stwarzaniu nowych gatunków zwierzęcych. Dlaczego więc mamy bić kornie czołem przed różnicami mózgowemi, wynikającemi z brutalności mężczyzny, a tak szanowanemi przez prelegenta jako dzieło „przyrody“? Wierzę, że nastaną czasy, gdy nasi potomkowie świadomie, drogą doborów, będą usiłowali znieść tę puściznę haniebnych lat, i antropotechnika zapożyczy wzorów postępowania u zootechników.

Prelegent oparł tezę swoją na fikcyi, tj. na cyfrze przeciętnej. Mężczyzna ma mózg cięższy o tyle to gramów, a zatem powinien iść po prawej stronie, towarzyszka zaś jego trzymać się lewej! Życie jednak nie zna liczb przeciętnych: rozdziela mózgi tej samej objętości pomiędzy obu płciami, jedynie w odmiennym stosunku, jak świadczy o tem tablica, podająca procent różnej wielkości mózgów wśród obu połów rodu ludzkiego:

Mózgi o pojemności			mężczyźni %	kobiety %
powyżej	1900	cm. sz	0,3	—
pomiędzy	1900—1800	„	3,5	—
„	1800—1700	„	[illegible]	0,4
„	1700—1600	„	25,0	2,0
„	1600—1500	„	32,8	13.7
„	1500—1400	„	13.0	23,7
„	1400—1300	„	4,10	31,3
„	1300—1200	„	0.5	22,0
„	1200—1100	„	—	5,0

Jest więc bardzo wiele kobiet, które stoją ponad przeciętną mężczyzny, i wielu mężczyzn, których mózg jest niższy, niż przeciętny kobiecy. Rzecz cała polega na rozmaitem rozmieszczeniu procentowem. Mogą istnieć, i na pewno istnieją śród płci żeńskiej, mózgi, mające wszystkie cechy dojrzałej umysłowości męzkiej; są mężczyźni, których umysł odznacza się wszystkiemi cechami „kobiecości.“ I nietylko tak bywa dla uzdolnień umysłowych, ale nawet w zakresie instynktów płciowych, jak świadczą nazwy, stworzone przez Krafft-Ebbinga: „mężczyzn z mózgiem kobiecym“ i „kobiet z mózgiem męzkim.“

Nie! nie możemy przystać na bezwzględne twierdzenie prelegenta, ażeby kobieta miała mózg odmienny. Jedynie wolno przypuszczać, że skala temperamentów umysłowych jest różna — u mężczyzny przeważają jedne typy, wśród płci żeńskiej — inne. Również wniosek, że przystoją im różne sfery działalności, np. pedagogika i medycyna, nie wytrzymuje krytyki. Z podobnem prawem moglibyśmy powiedzieć, że na tem samem polu pracując, każda płeć wyda tylko *inne* rezultaty, lub że zpośród mężczyzn wyjdzie *tylko* więcej uzdolnionych medyków, zpośród kobiet zaś — wychowawczyń.

Od pewnego czasu przeciw medycynie kobiet sypią się u nas gromy. Zabierają głos różne proszone i nieproszone ciocie i inne antyki i kładą Zosiom do głowy przebrzmiałe komunały. Pomimo swoich zastrzeżeń, dr. Nussbaum dorzucił głos do tego chóru, poparłszy go powagą swego zawodu i wiązanką lekkomyślnie ułożonych tablic.

L. Krzywicki.

---

*) Pogląd p. Nussbauma mogą skruszyć dane przytoczone w artykule p. t. „Rola kobiety fachowej“ (*Prawda* nr. 16). *Red.*

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stanisław Graybner: *Odstępca*, komedya w trzech aktach.

Pan Graybner zaglądał już dawniej do świata szlacheckiego, do mieszczańskiego; zajrzał teraz do arystokratycznego: pozostaje mu jeszcze ludowy. Wszystkie dotychczasowe przechadzki jego twórczości na krytyce sprawiają wrażenie—próby pióra. Kiedy i czy wogóle kiedykolwiek pióro to się wykształci tak, aby mogło już napisać sztukę dobrą? Pytanie to ma większe dla samego autora, niż dla krytyki znaczenie; czy je

przecież autor choć raz jeden sobie postawił i czy po każdej nowej próbie spostrzegał, iż za mało jest pisać: trzeba tworzyć, a tworzyć dobrze? Dawniejsze jego sztuki odpowiadają: nie. I „Odstępca" również sprawia wrażenie prostej tylko roboty dla teatru. W takich robotach nie wydobywa się człowieczeństwa z życia i nie kształtuje go dla sztuki; nie, w takich robotach bierze się tylko pióro, obmyśla sytuacye, wypełnia dyalogami i ostatecznie bawi się publiczność lub wstrząsa — nie człowieczeństwem, nie psychiką, nie prawdą rzetelną, ale słowami, które niby to wszystko nieść w sobie mają, ale rzeczywiście dają tylko szybko palącą się słomę i dużo z niej dymu.

„Odstępca" pełen jest psychicznych okropności. Najpierw rodzina szlachecka znajduje się na bruku warszawskim. Jedna siostra, czarna, Aurelia — idzie na lekki chleb i chodzi w aksamitach, mieszka w atłasach, żyje z pozłacaną młodzieżą; druga, biała, Zosia, pracuje uczciwie w fabryce kwiatów, a kocha się w młodzieńcu, który *incognito* ją tylko obmotał, aby kiedyś ssać z niej cielesną rozkosz. Matka ich od strasznej karyery Aurelii umiera; Zofia idzie do hr. Zamirskiej na lektorkę. Tutaj poznaje prawdę: owym młodzieńcem jest Jerzy Wieloborski, siostrzeniec hrabiny, zaręczony z jej córką, wdową już, księżną Łucyą; o tym stosunku dowiaduje się nieszczęśliwa dopiero od swej siostry, gdy ta przekupuje służbę, wdziera się do arystokratycznego domu, aby z niego znowu wydrzeć Zofię i po swojemu lepszy jej byt zapewnić. Doznawszy odmowy, czarny charakter postanawia się zemścić i rzeczywiście mści się na siostrze rodzonej, odkrywając przed Łucyą dawno już trwający stosunek jej z Jerzym. Pobudza ją i zazdrość kobieca, i obawa o dalszy zarobek. Jerzemu to właśnie zawdzięcza Aurelia swoje aksamity, atłasy i złocistości wszelkie.

List Aurelii do narzeczonej Jerzego jest bombą dynamitową, jaką w sztukach takich być powinien. Zofia nie daje się wyprowadzić z domu hr. Zamirskiej — swej niegodziwej siostrze; odtrąca deskę ratunku, podaną jej przez poczciwego Kalińskiego, starego kawalera, który się w niej podczas niegodziwych zalotów hrabicza, idealnie, jak anioł, kochał, a miał ciągłą nad nią i jej matką opiekę; znosi nawet wypędzenie tego przyjaciela swego z domu hr. Zamirskiej; znosi propozycyę—już aż nadto wyraźną Jerzego — o objęcie spadku po Aurelii; znosi wszystko i zniesie jeszcze więcej — byle tylko doczekać się wypędzenia przez samą hr. Zamirską. I po tem wypędzeniu jeszcze nie odejdzie. Nową bombę rzuca Łucya: zamiast piorunować, namawia sama Jerzego, aby się ożenił. Jest to błysk nagły: o tem nigdy jeszcze nie pomyślał; posiąść i mieć—to co innego, ale — żenić się! Dobra Łucya go nawraca: ożeni się.

W domu hrabiny bywa poeta-wydrwigrosz i darmozjad, stary już, uperfumowany, wyszarzany łobuz Zabroda (p. Szymanowski). Aby odwrócić niebezpieczeństwo mezaliansu, rada familijna Zamirskich, sama pani, jej brat, August Wieloborski (p. Leszczyński) i hr. Julian Zamirski (p. Wolski) postanawiają — wydać Zofię za Zabrodę. Naiwność tej rady współzawodniczy z dramatyzmem przyjęcia, jakiego od Zofii doznaje propozycya hrabiny. Po dwóch całych i części trzeciego, bardzo długiego, aktu mamy nareszcie to, od czego uczciwa kobieta zacząć była powinna: wyrzeczenie się Jerzego i jego rodziny, i onego lektorstwa, które tyle złego broi, samo będąc w sztuce niewidzialnem. Nawrócony przez Łucyę Jerzy przybywa; z oczyszczonej duszy wyrzuca czyste już wyznanie miłości i chce już teraz szczerze pojąć Zofię za żonę. I oto mamy Odstępcę. Ale Zofia odsłania mu dopiero teraz— dramatyczne stopniowanie wrażeń! — najważniejszą tajemnicę tego z samych tylko ważnych tajemnic złożonego dramatu: Aurelka, kamelia czy pokrzywa' Jerzego, jest jej, Zofii, rodzoną siostrą. Rzecz prosta, że się zawaha.

Na to już nie znalazł autor ratunku w zakończeniu sztuki i zostawił nierozwiązaną tajemnicę: czy się młodzi pobiorą. Tajemnicą również jest okrzyk Jerzego o świecie szerokim, czy też wielkim, o słońcu jasnem itd.; tajemnicą ostatnie słowa Łucyi, zakończające sztukę jakąś „linią" niby sensem moralnym arystokratyzmu. Tajemnicą jest wszystko: słowa — i słowa.

Na sztukę też p. Graybnera złożyły się słowa, nie ludzie. Nikt tam nie żyje, a jeśli żyje, nie jest potrzebnym. Rozumnie obmyślanego planu, układu, wiązania — rozumu psychologicznego, chwytającego człowieczeństwo, jego dośrodkowe i odśrodkowe siły i prądy, jego rozprężliwość, ciążenie ku dołowi i wzbijanie się w górę, jego zimne i gorące nastroje, jego blaski i cienie, stałość i przemiany, a przy tem wszystkiem utrzymującego zwartość, logiczność i indywidualność, wewnętrzne prawo charakterów—takiego rozumu ani źdźbła nie ma w „Odstępcy."

Nie ma też p. Graybner i rozumu artystycznego, wytwarzającego efekta prawdy lub piękna, grupującego myśli i porywy, egoizm i uczucie, w przemawiające i wymowne całości. W stylu „Odstępcy" mogą dalej powstawać tylko sztuki z mniejszą jeszcze od niego wartością. Lepiej, żeby nie powstawały wcale: tandety już dosyć.

P. Niewiarowska była bardzo dobrą hrabiną. Nie uznawała tego należycie publiczność, przyzwyczajona do spazmów scenicznych; nie uzna może krytyka jako jeden chór wyśpiewujący sąd o sztuce; ale zdaje mi się, że poważniejsze głosy krytyczne nie odmówią artystce tej pochwały. Mnie osobiście podobał się także i skromny a szczery i silny — niemocą głosu już nie krępowany — stary Kaliński p. Ładnowskiego. Oryginalny pomysł wprowadzenia Aurelii p. Junoszy posłużył do pokazania oryginalnego stroju i wystąpienia z oryginalnym barytonem. Łucyą była p. Lüde, Zofią p. Czaki, Jerzym p. Nowicki.

Stanisław Krzemiński.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WARUNKI PRODUKCYI RZEMIEŚLNICZEJ.

Tyle już u nas leków zalecono na choroby produkcyi rzemieślniczej, że całe znachorstwo ludu naszego nie mogłoby się poszczycić takiem bogactwem w tej mierze. Gdy koła wytwórczości zgrzytają, gdy kruszą się i pękają suche pasy, przenoszące siłę pracy z głównych ognisk do pomniejszych, radzimy, w braku tłuszczów odpowiednich, użyć na smary sadła komarowego. Gdy trzeba wyciąć narośle wycieńczające, radzimy je rozpędzać ekstraktem ziół polnych, obmywać wodą deszczową, stojącą na kamieniach. Wreszcie gdy powien odłam produkcyi dogorywa na uwiąd starczy, jesteśmy pewni, że można mu życie i zdrowie przywrócić odmawianiem słów tajemniczych, ochronić go przed żarłocznością olbrzyma, dyszącego parą, tętniącego siłą kapitału i techniki najpotężniejszej. Ta tylko zachodzi różnica między znachorami ludu a doradcami dziennikarskimi, że pierwsi działają z całą świadomością oszustwa, gdy drudzy patrzą na życie i jego zjawiska z naiwnością dziecka, a wady organiczne gromią słowami kaznodziei.

Niedawno *Słowo* poruszyło bardzo ważną sprawę bezrobocia sezonowego, któremu podlega u nas kilka grup rzemiosł: krawiectwo, mularstwo, ciesielstwo, kuśnierstwo i inne. Ponieważ ludzi, oddanych tym gałęziom pracy, można liczyć na dziesiątki tysięcy, więc zjawisko przybiera charakter ogólny. Krawcy, mularze, cieśle w czasie największego ożywienia zarabiają nieźle: po 2, 3, 5 i więcej rubli dziennie. I oto jak *Słowo* szkicuje ich dobrobyt chwilowy: „Wtedy spotykać ich można wieczorami po restauracyach, czynnych do późnej nocy; wtedy starowniejsi sprawiają sobie po kilka garniturów ubrań, złote zegarki ze złotymi łańcuszkami, stroją palce w bogate pierścionki, słowem, żyją, nie żałując sobie na przyjemności, odpowiednie swym popędom. Niestety, nadchodzi czas, w którym robota ustaje. Wtedy zapełniają się ładnemi rzeczami lombardy, wtedy i handlarze starzyzny mają żniwo, a nareszcie po wyczerpaniu tych środków rozpoczyna się opłakane życie o głodzie, o ile się da—na kredyt, zaciągają się długi." Doprawdy, trzeba podziwiać zdolności i bystrość tego spostrzegacza, wprawę mierzenia warunków ekonomicznych kuflami i kieliszkami wysuszonymi w restauracyi, biegłość w obliczaniu garniturów, dopatrywaniu pierścieni i zegarków. Szczegół ten nie zasługiwałby na uwagę, gdyby był pojedynczym. Charakteryzuje on wybornie owych „ekonomistów," którzy czerpią dane z bufetów i lombardów.

Faktem jest, iż rzemieślnicy nasi nie mogą przyjść do ustalonego dobrobytu, że większość ich zależy od spekulantów i aferzystów, częstokroć niefachowych. W czasie ożywionego sezonu zajmują oni uzdolnionych pracowników, których praca ani moralnie, ani materyalnie nie może być rzetelnie ocenioną. Cierpi na tem również technika wytwórcza. To są czynniki, zniechęcające rzemieślników, przyczyna przerzucania się do innych dziedzin pracy, nie tylko terminatorów, ale nawet czeladników i majstrów. Ludzie, posiadający możność zarobkowania względnie niezależnego, poszukują służby najmarniejszej, gotowi nawet pójść na łańcuch do budy odźwiernego, stróża składów towarowych itd. W takich warunkach *Słowo* upatruje przyczynę niższości naszych fachowców rękodzielników w stosunku do zagranicznych.

Ponieważ rzemiosła „sezonowe" są najpopłatniejsze, „w nich ludzie mogliby dojść do zamożności, przed innymi staną, innych za sobą ku lepszemu pociągnąć," więc *Słowo* doradza środki, które warto zaznaczyć. Od lat wielu działają u nas z powodzeniem magazyny ubrań francuskich i wiedeńskich. Rękodzielnie zagraniczne nie wahają się obciążać wyrobów swoich kosztami przewozu, cła, administracyi na rynkach dalekich i przy tak znacznych wydatkach mogą jeszcze współzawodniczyć skutecznie taniością z wytwórcami miejscowymi. Niektóre kraje Austryi, pewne prowincye Prus, wreszcie Szwajcarya wytwarzają mnóstwo tanich ubrań na wywóz, pomimo, że tamtejszy rzemieślnik wcale nie gorzej jest wynagradzany od naszego. Przyczyną takiego powodzenia jest następujący stan rzeczy: W porze martwej, kiedy zamówienia konsumentów miejscowych są małe, robotnik chętnie pracuje na „forrat," tj. na zapas, przeznaczony właśnie dla wywozu. Za tego rodzaju pracę rzemieślnik jest wynagradzany gorzej, niż podczas ożywienia. „Ale rad przyjmuje to wynagrodzenie, gdyż chroni go ono od nędzy, od próżniactwa, upadków złączonych z próżniactwem i nędzą; pozwala mu zachować grosz zaoszczędzony w ciągu sezonu czynnego i dorabiać się zwolna mienia na starość." Cze-

góż potrzeba, ażebyśmy nietylko ten zalew wyrobów zagranicznych powstrzymali, ale i sami wytwarzali na wywóz? — „Nieco rzutkości, przedsiębiorczości, niewielkiego kapitału i zawiązania stosunków z odległymi rynkami."

Tylko tyle — tj. wszystko, czego nie mamy ani w swoim temperamencie, ani kieszeni i głowie. Ponieważ takich warunków nie zdołali dotąd zdobyć specyaliści, więc tem bardziej nie można ich oczekiwać od niefachowców; źle oni bowiem kierują rzemiosłem, zadawalają się zniesławiającą fuszerką, boją się wreszcie przedsięwzięcia nieznanego. Autor artykułu w piśmie powyżej wymienionem głównie bierze w opiekę krawców i radzi, aby zawiązali spółkę komandytową, jako najmniej narażającą uczestników i najbardziej zobowiązującą zarząd. Ster powinni powierzyć członkowi, „znanemu z obrotności i energii." Otóż przypominamy, że i tutaj były już czynione próby, ale dzięki znamiennym cechom naszym, zgody ani rzutkości być nie mogło, więc spółka po krótkiem istnieniu rozwiązała się. Nie idzie zatem, żeby nie można było zrobić ponownej próby, oprzeć pracy połączonej na szerszych, racyonalniejszych podstawach.

W Brzezinach gubernii Warszawskiej, jest podobno setka krawców starozakonnych, którzy całymi wagonami wysyłają swe wyroby do Cesarstwa. Ale krawcy brzezińscy nie mogą być wzorem dla innych. Wyrabiają oni towar tani z materyałów, rzecz prosta, nietrwałych, obliczony na masy spożywców ubogich. Są skromnymi rękodzielnikami, których w każdej chwili mógłby pobić wielki przemysł krawiecki. Nawet gdyby krawcy warszawscy, mniej lub więcej znani, zechcieli zawiązać spółkę komandytową, nie mogłaby ona bezpośrednio zetknąć się z tak wielkiem przedsiębiorstwem fabrycznem, jakie istnieje np. w Niemczech. Na szczęście dla naszych krawców nie jest ono groźne, gdyż nie opanowało rynków tutejszych. Spółzawodniczą tylko i to z rezultatem niepomyślnym dla miejscowych, magazyny tak zwane „francuskie" i „wiedeńskie," rozporządzające znacznymi kapitałami. W chwili gdy *Słowo* zachęca do zawiązania spółki i zdobycia rynków dalszych w Cesarstwie, powstało u nas sporo wielkich magazynów krawieckich, rozporządzających znacznymi środkami i założonych przez przedsiębiorców z Cesarstwa. Zjawisko to wprawdzie nie świadczy o tem, że rynki gub. środkowych i wschodnich nie pożądają wielkiego zapasu ubrań. Przeciwnie — dziś może więcej potrzebują, niż poprzednio, gdyż ci przedsiębiorcy, co u nas osiedli, opuścili dawno zagraniczne miejsca nie skutkiem porażki ekonomicznej, lecz z innych powodów. Gdy więc dla krawców naszych warunki spożycia miejscowego znacznie się pogorszyły wobec współzawodnictwa przybyszów, stworzenie przedsiębiorstwa zbiorowego i zabiegi o rozszerzenie zbytu dalej, pożądane jest w chwili obecnej bardziej, niż kiedykolwiek. Naturalnie ten dział produkcyi na wywóz, jako obejmującej przedmioty mniej podlegające kaprysom mody, musi się zmienić zasadniczo. Ożywiłby on istotnie sezony martwe i usiłowałby skorzystać z wielkiej podaży rąk robotniczych w tych okresach.

Gorzej jest z liczną rzeszą mularzów, cieślów i innych rzemieślników, podlegających fatalnym skutkom martwoty sezonowej. Nie mogą oni wytwarzać ani na zapas, ani na wywóz; *Słowo* jednak znalazło dla nich środek leczniczy. Oto radzi im, ażeby w chwili zastoju odlewali... posążki świętych z gipsu! Na choroby naszych rzemiosł ani zamawiania, ani odczyniania nie pomogą. Podlegających bezrobociu przymusowemu nie ratuje tego rodzaju sezonowy przemysł domowy, jak „łatwa drobna stolarszczyzna:" wyrób zabawek z drzewa, drutu i blachy, sporządzanie części zegarów, zegarków itd. Trzeba bardzo dziecinnym wzrokiem patrzeć na warunki bytu i rozwoju ekonomicznego i sądzić je mózgiem niemowlęcym, ażeby takim lekom przypisywać stanowcze i zbawienne skutki. W czasie gdy istnieje mnóstwo fabryk produkujących tanie zabawki, zegary i zegarki, domowy wyrób tych przedmiotów przez przygodnych wytwórców nie opłaciłby nawet materyału surowego. Nasi znachorzy nie mogą dojrzeć roli techniki i kapitału w dobie dzisiejszej, więc wyobrażają, że skazane na zagładę różne gałęzie rękodzielnictwa, dadzą się utrzymać i nawet rozwinąć. Liczne odłamy rzemiosła muszą i będą jeszcze przez czas długi istnieć, mianowicie takie, których w całości nie zastąpi produkcya fabryczna. Wielkie zaś rzesze pracowników rzemieślniczych z działu budownictwa nie zatrą nigdy obecnych cech swego fachu. Ażeby zmienić warunki ich zarobkowania, tj. nadać im większą stałość, na to trzeba pewnej przemiany urządzeń ekonomicznych, której nie wywoła ani wyrób domowy zegarków, ani zabawek, ani posążków świętych.

Wogóle do pewnego stopnia rzemiosła dadzą się podnieść i wzmocnić przy pomocy techniki udoskonalonej, rozwoju wiedzy, specyalnej, śledzeniu postępów w całym świecie cywilizowanym, badaniu potrzeb i upodobań wielkich mas spożywców, ciągłym podboju rynków, wreszcie idealnej rzetelności wytwórców.

O tem niejednokrotnie już się mówiło. Obecnie należy się słów kilka powiedzieć o pomyśle p. Ragozina, podanym w najświeższym, 23-im tomie „Prac" Towarzystwa przemysłu i handlu. Doradza on urządzenie wypożyczalni siły parowej dla rzemieślników. Jak wiadomo, każdy przedsiębiorca rzemieślnik, zatrudniający 16 czeladników, płaci podatek taki, jak fabryki. Utrzymujący motor ponosi ciężar w tych samych rozmiarach, chociażby miał tylko trzech ludzi. Ale motor nie da się umieścić w pierwszym lepszym lokalu; często wymaga on osobnej budowli. Wreszcie zamiana siły mniejszej na większą, w razie rozszerzenia produkcyi, jest niezmiernie uciążliwą. Jeszcze przed pół wiekiem rzemiosła na zachodzie Europy były w tem położeniu, co dziś u nas. Maszyny parowe zachwiały byt rzemieślników, fabryka wyparła z rynków wyroby ręczne. Pierwsza Francya pospieszyła z pomocą drobnym rzemiosłom. W miastach przemysłowych wybudowano tam *Usines de location de force motrice* — wielkie gmachy, podobne do hotelów z mnóstwem oddzielnych pokoików i machin parowych, od których przeprowadzono transmisye na wszystkie piętra do każdego pokoju. Taki „numer" wynajmowano rzemieślnikom i przemysłowcom drobnym miesięcznie lub nawet tygodniowo. Zapłatę regulowano w stosunku do ilości siły zużytej, pierwszeństwo zaś mieli ci, którzy potrzebowali mniejszej siły. Takie „Usines" powstały najpierw w Paryżu i Lyonie, następnie rozwinęły się w całej Francyi, która dziś posiada 300 wypożyczalni, sam Paryż 30. R. 1873 zabudowano w tem mieście całą ulicę takimi domami. Stanęło 19 oddzielnych gmachów z machiną o sile 500 koni. Wynajęcie siły jednego konia kosztuje 2 franki (około 80 kop.), co wystarcza do poruszenia 8 warsztatów tokarskich lub 20 maszyn do szycia. Inne państwa poszły za przykładem Francyi; szczególnie Belgia wzięła się do tego energicznie. W początkach udzielano tam nawet pewnych przywilejów towarzystwom budowy „Usines," a magistrat m. Brukseli postanowił r. 1868, że domy takie będą wolne w ciągu lat 10 od wszelkich podatków miejskich. U nas jedynie Warszawa posiada dwa takie domy (na Marszałkowskiej i na Chłodnej), co jest stanowczo za mało, przy tem owe ogniska siły są mniejsze, niż za granicą. W Paryżu np. gmach 4-ro piętrowy może zmieścić około 40 wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw. Zdaniem p. Ragozina, wypożyczalnie siły parowej mogłyby przynieść ulgę drobnym przemysłowcom i rzemieślnikom, a wielu ludziom, pozostającym bez pracy, dałyby niezły zarobek. Projektodawca żąda, ażeby budowa tych roznosicielek siły parowej była poparta przez państwo, na wzór zagranicy. We Francyi np. dawano rocznie zasiłku 70—80 rs. za każdą siłę parową, po latach kilku — 15—20, obecnie zaś zakłady te nie potrzebują już żadnej pomocy.

Zen. Piet.

W DALI.

Lublin. W tych dniach około dwustu włościan obojej płci wyruszyło na zarobki do Łodzi. Są to mieszkańcy powiatów Zamojskiego i Janowskiego. Takie wychodźtwo ze wsi w chwili gdy się rozpoczynają roboty na roli, świadczy o smutnych warunkach materyalnych ludnosci włościańskiej. — W ciągu ostatnich dwu lat w okolicy Tomaszowa lubelskiego uregulowano serwituty cerkiewne we wsiach: Dubie, Perespie, Grodysławicach, Przeorsku, Tarnawatce, Wieprzowem Jeziorze i Werechaniach; o zamianę innych toczą się układy. Uregulowanie służebności włościańskich w tej okolicy dochodzi do skutku z wielką trudnością, ponieważ włościanie za zrzeczenie się praw swoich żądają bardzo wiele. Skutkiem tego w ciągu ostatnich lat 10 uregulowano serwituty tylko w majątkach: Perespa, Małoniż, Zwiartów, Niewirków, Dub, Przeorsk, Werszczyce, Łaszczówka, a w części w Krynich. — Pewne Tow. udziałowe z Łodzi zamierza założyć w Lublinie fabrykę wełny czesankowej. Gazeta miejscowa pisze, że przedsiębiorstwo takie może liczyć na powodzenie, ponieważ w Lublinie tańsze są: siła robocza, koszty utrzymania i mieszkanie, a nadto gubernia obfituje w wełnę, którą na miejscu nabyć można taniej i na dogodniejszych warunkach.

Mińsk. Gubernia Mińska i przyległe posiadają jeszcze dość znaczne obszary lasów: tymczasem owa dziedzina gospodarki nie ma pracowników odpowiednio przygotowanych w zakresie nauki specyalnej średniej. Obecnie postanowiono założyć kilka szkół niezbędnych, jedna zaś z nich powstanie w gub. Mińskiej przy zarządzie leśnym borysowskim. Kurs nauk będzie dwuletni. Z początku tylko dziesięciu kandydatów 16—18-letnich znajdzie miejsce. Wymagane jest wykształcenie odpowiednie dwuklasowym szkołom miejskim. Połowa zdolniejszych uczniów przyjęta będzie na koszt rządu, reszta ma płacić po 130 rs. rocznie za naukę i całkowite utrzymanie. Zajęcia będą miały charakter przeważnie praktyczny. Po skończeniu nauk wychowańcy otrzymają stopień tak zwanych „konduktorów" i posady niższych urzędników przy zarządach leśnych.

Wilno. Komitet statystyczny zebrał dane ze starych dokumentów archiwalnych o liczbie szlachty zaściankowej w trzech guberniach na początku XIX stulecia. Dokumenty te pochodzą przeważnie z 1801 roku. Według nich, w dzisiejszych guberniach: Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej liczono podówczas 64,326 przedstawicieli szlachty zagonowej. Z tego osiadłej na własnym gruncie było 25,629, opłacającej czynsze 24,348 i zamieszkałej w mieście lub będącej na służbie 14,385. Gubernia Wileńska posiadała tego żywiołu stosunkowo mniej, niż inne. Liczono w niej szlachty drobnej na własnej schedzie siedzącej 3,922 dusze; najliczniejszą zaś ona była w pow. Oszmiańskim (1,536) i Trockim (1,180). Szlachty dzierżawami chodzącej lub siedzącej na zastawach 7,497. Takiej zaś najwięcej było w pow. Wileńskim (1,926), Oszmiańskim (1,604) i Bracławskim (1,022).

W miastach zaś i na służbie 5,985. Ogółem 17,404. Oprócz tego, tak zwanych, wolnych ludzi liczono na ogół 117,000. Największa ich liczba, bo około 80,000, przypada na gub. Kowieńską, 27,191 na Wileńską, a najmniej na Grodzieńską. „I dziś jeszcze — pisze *Wiek* — stosunek szlachty zaściankowej w powiatach odpowiada mniej więcej rzeczonym cyfrom. Gdyby jej życie płynęło normalnem korytem, to w ciągu stulecia, żywioł ten, stanowiący osobliwy wytwór społeczny, rozrósłby się ogromnie. W każdym razie dziś przypuszczalna cyfra drobnej szlachty w gub. Wileńskiej wynosi około 40—50 tysięcy ludzi. Z tego zaledwie połowa, a może mniej jeszcze. pracuje na roli. Masa to ciemna, nader niewiele sferę inteligencyi ludowej przewyższająca. Poczciwa w gruncie, lecz zarozumiała, przejęta swem pochodzeniem, zamknięta w sobie, w ciągu lat 100 nie rozwinęła się i nie podniosła umysłowo, a zubożała materyalnie i moralnie. Zaledwie jednostki z ciasnej tej sfery wybiły się i na szerszy świat wyjrzały. Nic więc dziwnego, iż na wieść o prawie czynszowem masa ta, w ciężkich warunkach bytu zostająca, poruszyła się i zaczęła dochodzić słusznych lub urojonych praw do uwłaszczenia. Nie rozumiejąc dobrze znaczenia prawa, tłómacząc je fałszywie, podżegana przez różnych pokątnych doradców, częstokroć bez żadnych dokumentów i postaw, rozpoczęła szereg procesów, wyczerpujących ostatecznie jej ubogie zasoby. Ogromna ilość spraw, nader zawikłanych, na tle tem wysnutych, pomimo zwiększenia etatu urzędników dla ułatwienia rozstrzygania kwestyi czynszowych, nic wróży prędkiego załatwienia."

Petersburg. *S-t P. Wiedomosti* piszą, iż korespondenci gazet krajowych i zagranicznych otrzymają bezpłatne bilety jazdy z miejsc. skąd gazety wychodzą na wystawę do Niższego Nowogrodu z prawem kilkorazowego przejazdu Bilety będą imienne z podpisem własnoręcznym.—*Birżewyja Wiedomosti* piszą, iż w celu rozpowszechnienia koni wierzchowych lepszej rasy obmyślono następujące środki: 1) Hodowcy, których konie najbardziej będą odpowiadały wymaganiom wojskowym, otrzymają nagrody pieniężne. 2) Na zakup koni oficerskich skarb wyznaczy większe, niż dotychczas sumy. 3) Na wystawach zarząd wojskowy będzie udzielał od siebie osobnych dyplomów za odpowiednie okazy. 4) Nagrody na wyścigach oficerskich mają być podwyższone, a hodowcy zwycięskich koni będą otrzymywali premia. 5) Hodowcy koni będą mieli ułatwienie w nabywaniu klaczy na matki z pośród koni remontowych i wybrakowanych. 6) Urządzane będą specyalne wyścigi dla koni pół krwi. 7) Waga żołnierzy branych do konnicy będzie zmniejszona. 8) Konie mają być brane do frontu dopiero po ukończonych latach sześciu. 9) Od koni wymagana jest szybkość w kłusie 12 wiorst na godzinę, w galopie 16.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Korespondent *Kuryera warsz.* donosi, iż tłumy robotników rolnych przejeżdżają obecnie z nastaniem wiosny przez Poznań w drodze do zachodnich dzielnic pruskich, gdzie zatrudnieni będą głównie robotą w polu. Liczba ich dochodzi codziennie do kilku tysięcy; w braku wagonów osobowych pakują ich do towarowych lub służących dla przewozu bydła. Są to przeważnie silni i zdrowi parobcy i młode dziewczyny, więc najlepsze siły robocze. Nie brak nawet całych rodzin z dziećmi małemi. Ludzi tych niezdolne są powstrzymać w kraju żadne rady i przestrogi, gdyż ulegają zbyt ślepo namowom agentów.

— Ministra spraw wewnętrznych upoważniono go rozważenia zmian i uzupełnień prawa z d. 15-go maja 1882 r., na którego mocy zabroniono Żydom mieszkać na terytoryach niemiejskich, dzierżawić majątki ziemskie i zarządzać nimi z pełnomocnictwa. Z powodu, że od czasu ogłoszenia tego prawa przeszło już lat dziesięć, ministeryum uznało za niezbędne zażądać od władz odpowiednich wniosków uzasadnionych o rezultatach zastosowania tych przepisów na wsi, z uwzględnieniem przedewszystkiem motywów obyczajowych i ze wskazaniem niezbędnych zmian i uzupełnień. Wnioski mają być zaopatrzone w informacye szczególowe: 1) ile rodzin żydowskich zamieszkuje we wsiach, osadach i osobnych siedzibach: 2) ile szynków jest w ich rękach: 3) ile w każdym powiecie majątków ziemskich należy do Żydów.

— Na przytułek dla rzemieślników w Warszawie nabyto nieruchomość przy ul. Młynarskiej. Zakład będzie otwarty 8-go września tymczasowo dla 15 pensyonarzów.

— *Nowosti* donoszą, iż d. 19 b. m. na posiedzeniu Towarzystwa naturalistów w Petersburgu postanowiono nietylko przyłączyć się do podania, złożonego przez Towarzystwo techniczne w sprawie zastosowania systemu metrycznego, lecz i wystąpić ze swej strony z podaniem o wprowadzenie nowego stylu w kalendarzu.

Szkoły. Ogłoszono przepisy o egzaminach dodatkowych dla kandydatek do Instytutu medycznego w Petersburgu: a) do egzaminów dopuszczane są osoby, liczące najmniej lat 16 i posiadające świadectwa z ukończenia średnich zakładów żeńskich z tytułem nauczycielki domowej; b) oddzielnej opłaty nie będzie; c) egzamin odbywa się w tym zakresie, jaki wymagany jest od osób postronnych. pragnących uzyskać świadectwo dojrzałości; d) można zdawać w ciągu roku szkolnego od 13 września do 13 maja przed konferencyami gimnazyów męzkich klasycznych lub przed komisyami, złożonemi z kilku osób rady pedagogicznej; e) osobom, które pomyślnie złożyły egzamin, wydaje się świadectwo z wykazaniem stopniów „dostatecznych" lub „nader dostatecznych"; f) osoby, które egzaminu nie złożyły, mogą przystępować do niego dopiero po sześciu miesiącach; g) każda kandydatka w oznaczonych odstępach może składać egzamin najwyżej trzy razy.

— Na wyższych kursach dla kobiet w Petersburgu d. 28 z. m. rozpoczną się wykłady agronomii i ogrodnictwa. (*Now. Wr.*).

— Wychowańcy nowootworzonej w Warszawie szkoły technicznej p. Święcimskiego nosić będą uniform, złożony ze zwyczajnej bluzy uczniowskiej, z oznakami danego oddziału na kołnierzu, tj. budowlanego, mechanicznego lub chemicznego, i czapki specyalnej formy, z takiemiż oznakami. Przy zajęciach praktycznych używać mogą bluz drelichowych. Oprócz umundurowania zwyczajnego nosić będą także galowe, zbliżone formą do warszawskiej szkoły mechaniczno-technicznej.

— Jakkolwiek szkoły prywatne obowiązane są trzymać się programów zakładów rządowych, patent czyli świadectwo z ukończenia prywatnych wobec szkolnej władzy rządowej nie ma żadnego znaczenia, choćby te zakłady miały nazwę progimnazyów lub gimnazyów męzkich i żeńskich. Jedynie szkoła prywatna p. Kühna posiada przywilej wydawania świadectw, mających prawa państwowe; na egzaminie jest tam zawsze delegat od władzy szkolnej. Uczniowie szkół pp. Górskiego i Trejdosiewicza muszą składać egzaminy razem z uczniami w szkole rządowej realnej i wtedy dopiero otrzymują świadectwa. W szkole normalnej kolei Wiedeńskiej uczniowie muszą składać egzamin w szkole 3-klasowej miejskiej i tu otrzymane świadectwa dają dopiero prawo wstępu do szkoły technicznej, kolejowej. Wszelkie zaś ogłoszenie o wydawaniu patentów czy świadectw z ukończenia choćby nawet progimnazyów prywatnych jest wprowadzaniem w błąd rodziców, opiekunów i składających egzaminy. (*Kur. warsz.*).

Koleje i komunikacye. D. 12 maja wyjdzie z Petersburga pierwszy pociąg komunikacyi pośpiesznej z Londynem.

— Ministeryum komunikacyi poleciło zarządom kolejowym prowadzić dokładną statystykę ruchu podmiejskiego, która posłuży następnie za materyał do zniżenia taryf podmiejskich.

Sądy. W d. 25 kwietnia (tj. dziś), jak donosi *Warsz. Dniewn.*, wyjechał do Radomia wydział izby sądowej warszawskiej dla osądzenia sprawy byłego policmajstra, Kiriczenki, oddanego pod sąd za przestępstwa w urzędowaniu. Do kompletu sesyi wchodzą: prezes departamentu izby sądowej P. W. Bołotnikow, członkowie izby pp. Zeland i Firsow, towarzysz prokuratora A. E. Kilstedt i sekretarz G. A. Sabiczewski. Wszystkich obwinionych jest sześciu, świadków wezwano około 200, a nadto komplet sądu będzie musiał przeglądać mnóstwo dowodów piśmiennych. Sprawa prawdopodobnie potrwa około tygodnia.

Wystawy i zjazdy. Wystawa afiszów i reklam, urządzona w Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, będzie zamknięta 26 b. m.

— Podczas wystawy w Niższym Nowogrodzie ma się odbyć zjazd pracowników przemysłowych i handlowych. Między innemi będzie poruszona sprawa ubezpieczeń życiowych.

— W r. b. odbędą się następujące wystawy rolnicze. 1) w Krzmieńczuku, urządzona staraniem połtawskiego Towarzystwa rolniczego, między 13—30 września; 2) w Rewlu, urządzona staraniem estońskiego Towarzystwa rolniczego, w lipcu; 3) w Jurjewie, urządzona staraniem inflandzkiego Towarzystwa rolniczego, w początku września: 4) w Wenden, gub. Liflandzkiej, w połowie lipca: 5) wystawa jarmarczna w Łubnach, staraniem połtawskiego Towarzystwa rolniczego, od 16—22 sierpnia: 6) wystawa zwierząt domowych, nasion, narzędzi rolniczych i produktów spożywczych w Jurjewie, w lipcu; 7) wystawa cieląt w Smoleńsku, staraniem miejscowego Tow. rolniczego. 8) wystawa inwentarza we wsi Jarcewie, w gub. Smoleńskiej, 18 maja.

Dobroczynność. Na posiedzeniu członków zarządu W. Tow. Dobr. zdecydowano otwarcie przytułku dla chłopców w domu nr. 1126 przy ul. Żelaznej, dom ten właścicielka. ks. Michałowa Radziwiłłowa, oddaje na cel powyższy. W przytułku pomieszczonych będzie na początek 10 chłopców, nie mających żadnego zajęcia.

— Aniela z Bronikowskich hr. Załuska zapisała dobra swe: Łaziska, Guczkowice i Krzyżkowice hr. Zygmuntowi ordynatowi Krasińskiemu. z warunkiem wypłacania legatów, między innymi 5,000 rs. szpitalowi św. Kazimierza w Radomiu.

Wypadki. Dn. 21 b. m. zdarzył się niebywały wypadek w kronice kryminalnej życia naszego. P. Buchner. redaktor *Muchy*, przy zajściu z Władysławem Grajnertem, współpracownikiem pism warszawskich, dotkniętym wierszem pisma humorystycznego, strzelił dwukrotnie do przeciwnika i ranił go śmiertelnie. Grajnert po kilkunastu godzinach męczarni, skonał w szpitalu.

Zmarli. Baron Maurycy Hirsch, na Węgrzech, twórca kolonij argentyńskich dla Żydów. Milionową fortunę zawdzięczał sfinansowaniu kolei tureckich. Pozostawił majątek, obliczony na 100 milionów franków.

Odpowiedzi Redakcyi.

Marzycielce. Żadnego podręcznika, uczącego tworzyć powieści obyczajowe, nie ma i być nie może, bo jedyną na to regułą jest posiadać talent. Wzmiankowane artykuły Tarnowskiego pomieszczane były w pismach galicyjskich; z pamięci wszakże cytować numerów nie możemy.

Pani L. Idź. Czy to jest podobieństwem, ażebyśmy w krótkiej odpowiedzi na tem miejscu kreślili cały program wykształcenia w naukach społecznych i wypisywali szeregi tytułów? Nadmieniamy więc tylko ogólnie, że należałoby raczej postępować odwrotnie: naprzód poznać główne zasady ekonomii politycznej, a potem dzieje cywilizacyi, które stanowią dziedzinę obszerniejszą.

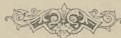
A. P. Rzeszów. Nie mamy miejsca dla tak obszernego streszczenia utworu, który przytem jest dość słaby.

— Komitet Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra Józefa Mianowskiego, podaje do publicznej wiadomości, że w wykonaniu woli ś. p. Zenona Pileckiego, który testamentem z d. 25 czerwca 1890 r. przeznaczył sumę rs 21,950 w Listach likwidacyjnych Król. Pol. na rzecz Kasy im. J. Mianowskiego pod warunkiem, aby procenty były przeznaczone corocznie na wynagrodzenie autorów za prace naukowe z dziedziny historyi, litera-

tury, językoznawstwa i prawodawstwa polskiego, jak również nauk matematycznych i przyrodniczych, Komitet mając do rozporządzenia procenty za rok ubiegły rs. 800, przyznał pp.: *Aleksandrowi Rembowskiemu*, autorowi pracy p. t. „O konfederacyach" rs. 300; *Ignacemu Chrzanowskiemu*, autorowi pracy p. t. „O facecyach Mikołaja Reja" rs. 100; *Henrykowi Konicowi*, autorowi pracy p. t. „Kartka z dziejów oświaty w Polsce" (Czasy księstwa Warszawskiego) rs. 100; *Floryanowi Łagowskiemu*, autorowi pracy p. t. „O znakach pisarskich" rs. 100 i *Józefowi Eismondowi*, autorowi pracy p. t. „Studya nad pierwotniakami okolic Warszawy" rs. 200.

Prezes komitetu *A. Okolski*.

Członek komitetu Sekretarz *St. Libicki*.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Апрѣля 1896 г.   Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8